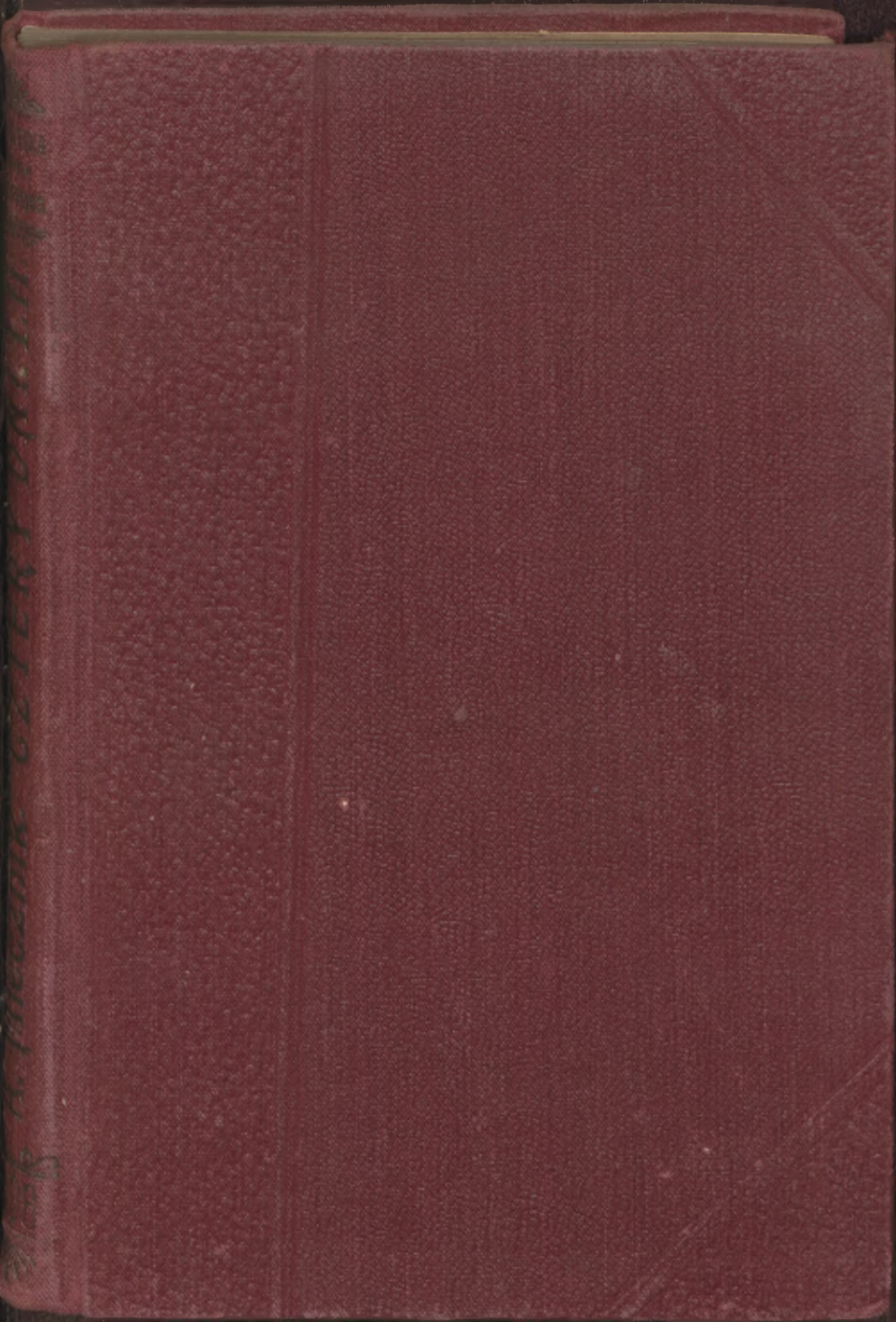




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Rocznie. . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop 50

Kwartalnie . (13 tomów) „ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

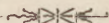
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 306.

CZTERY DNI.

POWIEŚĆ

przez

ANTONIEGO MIECZNIKA.



Część II.

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA

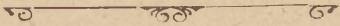
Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
1903.

CZTERY DNI.

ANTONI MIECZNIK.

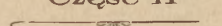


Cztery dni.

POWIEŚĆ.



Część II



WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Ноября 1903 года.



174033

III.

Dzień pana Leona Edelberga.

Pan Leon po raz piąty, czy szósty stawał przed telefonem i wyrzucał z siebie w aparat natrętnikom cały szereg mniej więcej takich zdań:

— Dzień dobry... Acha, dobrze, bardzo dobrze. Proszę pana. — Dalibóg pierwsze sto rubli, jakie mi do rąk wpadną, przeniosą się do pańskiej kasy... Tak, tak... Teraz, dzisiaj ani grosza—jutro... Co panu z tego przyjdzie?—Niech pan poczeka, przecież pan wie... Nie mogę.—Nie—to trudno, ja nie jestem w stanie.. Pan na tem najwięcej straci... Do widzenia.

Powtarzało się to codziennie od tygodnia. U siebie pan Leon był napastowany przez zwykłych lichwiarzy, na mieście nie mógł się opędzić od poważniejszych wierzycieli obcych i znajomych. Przychodziły mu też do głowy różne kombinacye, zmierzające nie tyle do tego, żeby wydostać w jakikol-

wiek sposób pieniędzy i spłacić wekslarzy, ile żeby od nich uciec.

I teraz, zadzwoniwszy dwa razy na znak, że rozmowę przez telefon skończył, zaczął znów myśleć nad tem, jak i gdzie się schować przed czychającą nań tłuszcą brudnych Żydów - lichwiarzy. Chodził po gabinecie i gryzł sobie do krwi wargi, przytem opanowywał go stopniowo dziwny wstręt do dobrodziejstw cywilizacji. Telefon był mu od rana zmorą, przeklinał go i byłby rozbił tę elegancką skrzyneczkę, stojącą sobie spokojnie na biurku, gdyby miał dostateczny zasób tej wścieklej energii, która, raz wyprowadzona w stan czynny, zamienia każdą myśl w odpowiedni mniej lub więcej gwałtowny ruch.

Pan Leon jednak stracił energię, giał się, ale nie złamał, więc cierpiał okrutnie, a beznadziejnie; czuł się jakby pogrążony w bagnisko o ruchomym dnie, z którego mogła go wydobyć tylko jakaś seria cudów.

Czekał więc na cud. Jakoż zamiast cudu, punkt o wpół do 12-ej zjawił się Sławoborski.

— Jak się masz, Leon? — zaczął hrabia, sadowiać się wygodnie na kanapie, stojącej tuż obok okna. — U ciebie ciepło i dobrze, a u mnie zimno i źle.

— Wolę twoje zimno — bąknął pan Leon — aniżeli moje ciepło — i zajął miejsce obok szwagra.

Hrabia spojrzał nań, jakby mu miał zwiastować tryumf niespodziany; uśmiechał się, głową

kręcił i szarpał swój siwy wąsik. Pan Leon zauważył tę wesołą minę szwagra i czekał, przyglądając się swoim starannie oczyszczonym paznokciom, o które dbał niezmiernie, poczem spytał nieśmiało:

— No i cóż?

— A nic.

— Więc z ojcem nie mówiłeś?

— Owszem, bardzo wiele.

— W moim interesie?

— Prezes wie o twoich interesach lepiej, niż ty sam.

— Tak, ojciec wie, bo mu powiedzieli, bo są łaskawcy. Niech dyabli porwą cały świat!— krzyknął pan Leon i zerwał się z kanapy.

Poczem chwycił się za głowę już porządnie uczesaną, ale tak, ażeby sobie tylniej przedziałki, niesłychanie misternie wykonanej, nie popsuć—i jął, chodząc po pokoju, mówić:

— Niech dyabli porwą świat cały! To truczna; gdybym ja był wiedział?...

— Co?

— Ale nie, ja jestem głupi, idyota; tak, głupi i idyota!

— Nikt ci tych epitetów nie odmówi — zjadliwie podchwycił hrabia i pociągnął szwagra za rękę.

— Wiesz co, ty masz rację... Co tu długo mówić; ja sobie w łeb palnę, w łeb sobie strzelę—rozumiesz ty to?

— Rozumiem — zaśmiał się hrabia — a i to

także rozumiem — dodał, kładąc panu Leonowi rękę na ramieniu — że ty tego nie uczynisz.

— Dlaczego? Myślisz, że m tchórz?

— Potrosze, ale to nie dlatego, bo przecież i tchórze zdobywają się na różne kroki ryzykowne, lecz dlatego, że na palnięcie sobie w łeb będziesz miał zawsze czas... Tak znów źle nie jest, jak ci się wydaje.

— Zatem ojciec płaci długi?

— Ani myśli.

— Więc?...

— Opory zrobią klapę; moje a, raczej twojej siostry wspaniałe *palazzo*, które jest właściwie budą żydowską, rozpadnie się w gruzy, ty także pójdziesz na grzybki, jeżeli...

— Nie męcz mnie, mów...

— Jeżeli się razem mądrze nie zabierzemy do interesu.

— Nowa kombinacya jakaś — wyrzucił z siebie pan Leon szyderczo. — Może jakie świeże szelmostwo?

— Mój drogi — oburzył się hrabia — ty wiesz, że ja....

— Żeś ty uczciwy człowiek, ale tak — syczał pan Leon — o uczciwości takiego, jak ty szlachcica, nikt nie wątpi. Honoru nie mają Żydzi, no, oczywiście, ale nie wy, jaśnie państwo.

— Już zaczynasz?

— Skończyłem, teraz ty zacznij.

— Uspokój się.

— Już się uspokoiłem, mów!

Hrabia na chwilę zaperzywszy się, ostygł znów i znów przybrał minę obojętną widza artysty, krytyka optymisty. Wydobył srebrną papierośnicę z kieszeni i zaczął się nią przez chwilę bawić, podrzucając do góry; hrabia miał pasyę do sztuczek żonglerskich; potem przymrużył oczy, podkreślił wąsa i zaczął:

— Widzisz, to tak... uważasz...

— Nic nie widzę i na nic nie uważam—przerwał pan Leon zniecierpliwiony.—Skracaj się!

— Słusznie... Czytałeś w gazetach o awanturze Koniecpolskiego?

— Co mnie to wszystko obchodzi? — ryknął pan Leon—Co mnie obchodzi, że tego aroganta jakiś urzędniczna zwymyślał; dobrze mu zrobił, bo zasłużył na to.

— Otóż, widzę, że zaczynasz rozumieć. Ten urzędniczna dobrze zrobił, zwymyślawszy Natana Koniecpolskiego, na co Natan Koniecpolski, nawiasem mówiąc, rzetelnie zasłużył. Idę dalej: ten pan, już zapomniałem, jak się nazywa, zrobił także dobrze dla nas, a tu trzeba wykombinować, żeby mu to „dobrze” na zdrowie nie wyszło.

— Zwaryowałaś! Ja się cieszę, że Koniecpolski został zelżony, bo nie cierpię tego Żyda, bo on mnie, tobie, ojcu, Oporom — nam wszystkim razem, stoi na drodze, a ty chcesz, żeby się z tego smucić; no, bo tak...

— Twój ojciec, a mój teść tak samo, literalnie tak samo myśli.

— Jakież mój ojciec może mieć uczucie na widok zgwałconego, sponiewieranego przeciwnika, wroga?

— Nienawiści... zapewne.

— Więc?

— Et, ty znów nie chcesz mnie zrozumieć. Uważasz, nienawiść dobra wtedy i korzystną nawet, jeżeli ją się umie przebić na monetę brzęczącą.

— Aha, *nous'y sommes!*

— *Vous n'y êtes pas, mon cher*, bo ty chcesz traktować uczucie nienawiści, jak artysta, co to udaje, że tworzy sztukę dla sztuki: bo udaje, gdyż nie chce mi się wierzyć w szczerść tych panów.

— Tyś, człowieku, zawsze się mijał ze szczerścią, więc nie możesz wierzyć w nią, ale ja?

— Przypuśćmy... Ty jesteś rozdrażniony, więc pleciesz głupstwa, a we mnie chcesz wmówić całą baterię potworności etycznych. Zostawmy osobiste nasze zdania w tej materii na inny czas, a teraz słuchaj dalej—skracam się...

Hrabia zapalił papierosa, wziął z biurka małeńki przycisk i zaczął go podrzucać w górę—czynił to tak wprawnie, jak żongler prawdziwy—przytem mówił:

— Doszły mnie wieści, że Koniecpolski nas, to jest, właściwie ojca naszego potrzebuje na to, że-

by go tenże oczyścił z zarzucanych mu przez prasę niewłaściwości.

— Niewłaściwościami nazywasz gburowatość i łajdactwo?—szyderczo mruknął pan Leon i zbliżył się do okna.

— Mniejsza o sposób pojmowania tych wyrazów, chodzi o rzecz... Ja obmyśliłem transakcyę następującą: my oczyścimy z kalumnii Koniecpolskiego, a on nam uratuje Opory, przyzna kredyt i wyświadczy milion innych grzeczności...

Pan Leon, w miarę jak hrabia cedził te zdania, patrzył na niego ze zdumieniem. Znał on swego szwagra, ale jeszcze nie wiedział, że tenże jest gotów do takich kompromisów subtelnych z godnością własną.

Milczał, a Sławoborski ciągnął dalej:

— Chodzi o to, żeby ojciec podpisał cyrograf. razem z innymi członkami Kredytu Krajowego: jako ci potępiają onego urzędniczynę naiwnego, a dla nas nieocenionego w tej chwili, i stają, niby jeden mąż, za Natanem Koniecpolskim z całym uznaniem dla jego dotychczasowej działalności finansowej.

— Cóż dalej?

— A co? Źle? Poszedłem z tem do ojca i wyłuszczyłem projekt całkowity, który, nawiasem dodam, potępiła twoja siostra, a zaaprobował twój siostrzeniec. Ojciec kiwnął parę razy głową, pluwał i rzekł: ja tego nie zrobię, bo Koniecpolskiego nienawidzę, a z tego, co go spotkało, cieszę się.

Odpowiedział, jak jaki księżę niezłomny, chociaż Bogiem a prawdą, żadnym księciem i w dodatku niezłomnym nie jest.

— Ojciec miał rację.

— Co, więc i ty?!...

— I ja, mój drogi, zwłaszcza ja.

— A kto będzie długi płacił, twoje długi — kto? Z Oporów ani grosza nie wyciśniesz.

— Bo też ja nie myślę wyciskać.

Tu pan Leon pogardliwie spojrział na szwagra i bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, cedził przez zęby:

— Ja?... O mnie mniejsza; moja rola już skończona. Długi? Niech mnie zlicytują, no, niech zlicytują, wówczas odetchnę — zostanie mi jednak...

— Milion zobowiązań i weksli niezapłaconych — wtrącił hrabia.

— Zobowiązania moje — odparł zimno młody Edelberg — są mniejsze, niż ci się zdaje.

— A Lacka?

— Ha, w innych warunkach powstałyby we mnie pewne plany, w tych obecnych trzeba się będzie z nimi pożegnać... A długi?... Należy spłacić... bo należy.

— Czem?

— Własną pracą.

— Co, ty będziesz pracował?

— A ja.

— Jak?

— Jak umiem — i po chwili milczenia dodał, wolno ważąc słowa: — Jak umiem... Mam za sobą tradycję rodzinną, ta tradycja ożyła we mnie i doprowadziła mnie do pewnych refleksyj na temat mojej własnej pozycji w tym świecie, który uważałem za swój, a który moim nie jest... bo nie jest.

— Leon — zawołał hrabia — ty chyba zwaryowałeś!

— Otrzeźwiłem się, mój kochany, otrzeźwiłem się — powtórzył, a w głosie drżała mu jakaś nuta desperacka.

Poczem, zbliżywszy się do szwagra, stanął przed nim i tak mówił:

— Tobie się wydaje, że we mnie niczego więcej niema prócz narzuconej przez wychowanie i tak zwane towarzystwo eleganckiej blagi; ty sądzisz, że ja tylko głupiec, marnotrawca, idyota: czy nie tak? A tymczasem to wszystko nieprawda; ja także widzę, co się naokoło mnie dzieje, a widzę, kiedy chcę widzieć. Dostrzegam anormalności mego położenia osobistego na tle tych stosunków, w jakich żyję razem z wami. I nieraz się pytałem siebie, co ja niby w tem kole błyszczącego fałszu robię? Pytałem siebie, ale sobie nie chciałem kategorycznej narzucić odpowiedzi. I żyłem, jak inni żyją, i świeciłem pozorami szychu złotego, rzucałem pieniędzmi, których nie zarobiłem, i traciłem to, co do mnie nie należało. Jednem słowem, udawałem jakiegoś dynastę wielkiej rodziny historycznej, jakie-

gość pana, magnata, kiedy tymczasem byłem tylko wnukiem Jakóba Edelberga, a prawnukiem rabina Edelberga...

— No, no i co dalej? — bąknął pogardliwie Sławoborski, zdumiony mową szwagra i zły, że do tych wynurzeń przyszło.

— Dalej?

— Tak. Ja to, co ty mi teraz mówisz, już przedwczoraj z ust twojego własnego ojca słyszałem.

— Ojciec—rzekł pan Leon spokojnie—to mądry człowiek, on sobie zdaje sprawę z naszej sytuacji familijnej, ale on jest za stary, on na inną drogę nie wejdzie; on kiwnie głową i machnie ręką na to wszystko i będzie żył podawnemu. Ale ja? Ja mam tego wszystkiego dosyć... Dosyć mam — wołał z mocą — i nie wytrzymam więcej! Ostatnie dni zbudziły we mnie człowieka takiego, jakim naprawdę jestem. Otóż ten to człowiek stary, a który tobie wydaje się nowym, chce żyć inaczej, chce ocalić sobie opinię człowieka porządnego, człowieka honoru. Bo nie powiesz ty i nikt, iżbym uczynił coś takiego, co by mnie osobiście plamić mogło. Mam długi, ale się nie myślę ratować wybiegami i bankructwem pozornem, nie chce mi się nawet wchodzić w układy, kompromisy; ot, pragnę je zapłacić i zapłacę. Tak, zapłacę, skoro ojciec mój nie będzie w stanie pomódz mi w tym względzie.

— No, no, no... — mruknął ironicznie hrabia

wstał z kanapy. — Zatem w kwestyi Koniecpolskiego nie będziesz z ojcem mówił?

— Ani myślę, bo to jest świństwo.

— A czemże jest Koniecpolski według ciebie?

— Niech będzie, czem chce, to mnie nic nie obchodzi, to jego rzecz; on jest tylko takim, jakim go stworzyło jego własne otoczenie, jego wychowanie, jego tkwiąca w nim żywiołowość rasowa.

— Mój Leosiu — rzekł znowu hrabia — dosyć tego patosu, tej emfazy. Przyznam ci się, że lubię tego rodzaju rzeczy czasami, ale nie zawsze, to dobre w sztuce, lecz nie w życiu. Natan Koniecpolski jest w tej chwili potęgą, i trzeba umieć z tej potęgi korzyść wyciągnąć. Po coś ty go unikał, czemuś go zaniedbywał? On ma rodzinę, ma córki, ma...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się szyderczo Edelberg. — Uważam, że ty masz jakieś jeszcze inne widoki na Koniecpolskich, że nie tylko obchodzi cię ta historia skandaliczna, która się wydarzyła w Kredycie Krajowym. Ty coś knujesz... A co? Czy ty chcesz mię ożenić, mnie, zbankrutowanego szlachcica żydowskiego, z panną Różą?

Hrabia zmieszał się nieco i odrzekł śpiesznie:

— W tej chwili o tem nie myślę.

— A ja wiem, o czem ty w tej chwili myślisz — przerwał pan Leon z ironią. — Ty myślisz ożenić z panną Różą syna swego, chociaż mój ojciec chce dla mnie tego mariażu.

— Co?!

— A tak, mój drogi hrabio! O tem ludzie już mówią... Ja niby na nic nie uważam, niczego nie słucham, a wszystko wiem i słyszę. Otóż nie bój się: ja Arturowi w drogę nie wejde, ja wam się wogóle z drogi usunę, wy sobie tam bezemnie dacie radę. Klementyna odegra komedye, co potrafi; ty podsuniesz Arturowi plan gotowy, matka się zgodzi, a Julia da swoim szczebiotem powód do ciągłego poruszania tego tematu. Tak będzie. Ojciec zaś, przecież ja ci powiedziałem, że to człowiek mądry, ale już stary, on się na nic więcej nie zdobędzie, jak na aprobatę. Zresztą on, prezes, człowiek finansów, kombinacyj giełdowych, człowiek, dla którego filozofia życia i życie samo to dwie odmienne rzeczy: on w danym wypadku może wam być użyteczny przy transakcyi — okpić siebie i was nie pozwoli... Mnie, uważasz, daj święty pokój; zapomnijcie o mojej egzystencyi tak, jakbym ja o niej sam pragnął zapomnieć.

Ostatnie zdanie pan Leon wyrzucił z siebie razem z jakimś przeciągłym westchnieniem. Na twarzy zmęczonej wystąpiły mu czerwone plamy niezdrowego rumieńca. Był wzruszony.

Sławoborski się skrzywił, bo mu nie przypadły do smaku słowa szwagra. Wziął znowu przy-cisk do ręki i zaczął się nim bawić, poczem, patrząc na okno, przysłonięte białemi witrażami, rzekł:

— Tyś dziwny człowiek, nie wiedziałem o tem.

— Nie, mój drogi, ja dopiero teraz, w tych ciężkich dla mnie momentach życia, czuję się zdolnym do normalnych refleksyj. Widzisz, gdybym nie był w interesach, gdybym w dalszym ciągu mógł się bawić, jak to dotychczas czyniłem, byłbym takim, jakim mnie znałeś... Ale to — tu pan Leon wyciągnął przed siebie ręce — to coś błyskotliwego przysło, rozwiało się i sprowadziło konieczność wydłużania z siebie rzeczy nowych dla ciebie, a starych dla mnie. Obudziłem się jak po bardzo zabawnym śnie, który jest tylko snem, mamidłem, niczem więcej.

Sławoborski wstał z kanapy. Widocznie chciał przerwać rozmowę, schodzącą na takie dlań niezwykle tory, może też bał się w sobie obudzić tego głębszego człowieka, który w każdym, nawet pospolitym filistrze, drzemie, więc rzekł:

— Materję rozmowy tak jakbyśmy już wyczerpali.

— Chyba—mruknął pan Leon.

— Zatem na ciebie liczyć nie można?

— Nie—odparł stanowczo pan Leon i dodał po chwili już szeptem.—Bądź pewny, że z Arturem rywalizować nie będę, choćby mnie do tego mój własny ojciec namawiał.

— Niema o czem mówić — przerwał Sławoborski.—Może u nas będziesz dziś na śniadaniu?

— Nie mogę.

— A może do ojca pójdziesz?

— Pójdę wieczorem... nie wiem zresztą kiedy, ale pójde dzisiaj, tymczasem mam do załatwienia milion interesów.

— Zatem do widzenia, bo i mnie się spieszy— zakończył Sławoborski, żegnając się ze szwagrem.

— Do widzenia!

Sławoborski wyszedł. Pan Leon został sam. Usiadł przed biurkiem i oparłwszy się na łokciach, zbierał swe myśli. Rozmowa ze szwagrem brzęczała mu w uszach, jak natrętna mucha, której się trudno pozbyć.

Zadawał sobie teraz pytanie: po co on się wywnętrzał ze swych najserdeczniejszych myśli przed tym człowiekiem, do którego czuł instynktowną odrazę, i który mu był nieprzychylny.

Pan Leon żył lekkomyślnie, szedł za popędem swych zachcianek, nie wnikał w motywy swych własnych czynów, nie zastanawiał się też wogóle nad pobudkami czynów innych ludzi, był jednak człowiekiem nietylko elegancko-honorowym, za takiego uważali go przyjaciele i znajomi, lecz także poprostu uczciwym. Miał żywiołową właściwość w swym charakterze, iż na punkcie tej prostej uczciwości nie wdawał się w kompromisy z sumieniem własnym.

Grał w karty, przegrywał, wydawał dużo pieniędzy na zabawy i miłostki pokątne, był marno-

trawcą, ale zawsze wiedział, że jeżeli rujnuje kogo, to jedynie ojca. Tymczasem strunę przeciągnął, dowodnie się przekonał tym razem, że ojciec mógł zapłacić dwa razy dłużi krociowe, lecz że niepodobieństwem było żądać, żeby dalej płacił. Przekonał się, iż stary Edelberg walczył sam z nadchodzącym krachem finansowym i że mu się wszystko w rękach rwało.

Otóż pan Leon poczuł nareszcie, że sytuacja jego zaczyna się wikłać i że on sam staje na tem rozdrożu, z którego wychodzą dwie drogi: jedna prowadząca do ubóstwa, a druga—do różnych kombinacyj, stojących wpoprzek uczciwości, którą miał w sobie i która była dlań droższą nawet nad nawyknienia eleganckiego i próżniaczego żywota.

Na myśl ubóstwa, pracy mozolnej, dźwigania się w górę z powrotem ku tej błyskotliwej pozycji, jaką tracił, drżał i cofał się.

Przez całą noc przesuwwały mu się obrazy na tle podniecone wyobraźni tego życia, jakie dotychczas pędził. Czuł się tak z tem życiem złączony, iż sama myśl innej egzystencji sprawiała mu ból niemal fizyczny. Był bezsilny, ale zarazem czuł, że dalej tak być nie może. Buntowała się dusza jego przeciwko przymusowi, widział się niewolnikiem blichtru i filisterstwa nabytego, a nie umiał się wydobyć na wolność.

Dopiero teraz, gdy Sławoborski kusząco do niego przemawiał, wyłaniając plan poprawienia in

teresów cudzym kosztem, dopiero teraz, gdy stanął na rozdrożu, wyrwało mu się z duszy to, co spało.

Sumienie odezwało się w nim przemożnie i przemożnie działać zaczęło. Wyraziło się zaś to działanie sumienia w tych właśnie zdaniach, które zdziwionemu szwagrowi wyrzucił z siebie.

I odczuł pewne zadowolenie z tego, iż wypowiedział się, a wypowiedział przed tym, który mu stawał na drodze, który go kusił i zdeprawować usiłował.

Nowe życie wstąpiło w pana Leona.

Odetchnął. Wstał z krzesła, przesunął ręką po zmęczonem czole i jał spacerować po pokoju.

Jakoż duch pracował, znalazłszy inny punkt oparcia dla myśli.

To, co było, stawało się dla niego czemś naprawdę niedobrem, naprawdę anormalnem. Zbudziły się w nim wspomnienia lat przeżytych, młodości wczesnej sięgające, i zaczęły z przedziwną plastyką rozsnuwać się na tle rozbujanej wyobraźni.

Ujrzał się znów małym chłopcem obok swej siostry pod dachem ojcowskiego domu. W otoczeniu bon i guwernerów cudzoziemskich upływało mu życie dziecięce. Rodziców widywał jedynie w czasie śniadań i obiadów, ponieważ wiecznie byli zajęci: ojciec interesami swojej firmy i stworzonych przez siebie instytucyj finansowych, a matka przyjmowaniem utytułowanych gości z towarzystwa i od-

dawaniem wizyt tymże utytułowanym gościom. Nie było też w stosunku wzajemnym dzieci do rodziców i rodziców do dzieci żadnej czułości. Pan Leon teraz nawet jeszcze, po latach dwudziestu kilku, mógł wyliczyć te okoliczności rzadkie, kiedy ojciec zwracał się do niego z jakimś zdaniem, a matka z jakąś pieśczętą. Wówczas nie odczuwał tego nienaturalnego stanu, owszem, w umyśle jego dziecięcym powoli wyrabiał się przekonanie, że tak być powinno, jak było. Uczył się miernie, więcej z nudów, niż z wrodzonej skłonności do nauki.

Kiedy siostra, o kilka lat starsza od niego, wyszła za mąż, bardzo wówczas odczuł ten wypadek, ponieważ pozostał w domu sam. Towarzystwa nie miał żadnego, bo te chwile, kiedy urządzano dla niego jakieś kinderbale, na które spraszano dzieci grzeczne i dobrze wychowane, a należące do towarzystwa, były nader rzadkie. Zresztą, owe zabawy, utrzymywane w granicach dobrego tonu, były pozbawione wszelkiego wdzięku, w które się zwykle przystraja wiek dziecięcy, były to powtarzane w miniaturze *five o'clock'i* i rauty osób starszych. To też pan Leon przypominał sobie, że go ta gromada dzieci grzecznych, paplących po francusku i angielsku, nudziła, i że zadowolony się czuł, kiedy zostawał sam.

Bawił się, jak umiał, a zabawek miał bez liku, gdyż pod tym względem hojność rodziców była bez granic. Najchętniej atoli przesiadywał w kredensie, przysłuchując się gwarze lokajów i kłótniom dzie-

wczyn pokojowych, w których często sam brał udział.

Nastąpił nowy okres w jego życiu, kiedy go ojciec oddał do szkół publicznych. Wówczas to po raz pierwszy spotkał się z nowem otoczeniem, do którego nigdy nie mógł się przyzwyczaić, bo odstępowało od zimnych form towarzyskich, będących regułą w domu rodzicielskim. Żył więc tylko z tymi dawnymi swoimi towarzyszami, którzy przychodzili do nich na kinderbale i wzrastał wśród nich.

Jednym jedynym kolegą, trzymającym się poza dobranem kołem paniczów, był Jaskrowski; z nim też zawiązał bliższą znajomość. Wyróżniał on się z gromady uczniów tem, iż był zdolny, postępy w naukach robił, a wyższości swej, jako syn bogatych rodziców, nie okazywał. Leon go lubił, chociaż Jaskrowski nie oszczędzał mu nigdy słów prawdy, często krytykując jego postęпки.

Pod wpływem Jaskrowskiego młody Edelberg stawał się szczerzym i naturalniejszym; wrodzona skłonność do uczciwości brała w nim górę nad nabytymi przyzwyczajeniami. Uczyć się nawet zaczynał lepiej i powoli zespalał się z trybem życia innych kolegów. Ale zaszła zmiana. Oto ojciec uznał za stosowne, idąc za radą żony, że Leona trzeba wycofać ze szkół krajowych, gdzie jakoby nauka stała nisko, a na dobre maniere nie zwracano wcale uwagi. Stary Edelberg myślał inaczej, bo był człowiekiem mądrym, ale dla miłego spokoju uczynił tak, jak sobie tego życzyła małżonka.

I znalazł się pan Leon za granicą, w jednym z pierwszorzędných pensyonatów, gdzie istotnie towarzystwo było dobrane i gdzie naprawdę niesłychaną uwagę zwracano na dobre wychowanie.

Wzrastał więc znowu wśród narzuconej sobie sfery, do której miał prawo jedynie jako syn bogatego i wpływowego człowieka.

Tu także dano mu poczuć różnicę, dzielącą go od innych. Tu także dowiedział się o tem, że, jakkolwiek ojciec jego był bogaty, był jednakże tylko kupcem i bankierem Edelbergiem. Dobrze wychowani panicze nieraz dowodzili mu, iż jest wśród nich tylko skutkiem dziwnego zbiegu okoliczności, nie zaś z naturalnego porządku rzeczy. — I widział jasno, że on jest tylko Edelbergiem, prostym Edelbergiem, a nie żadnym księciem lub hrabią.

Czuł się też z początku nieswojo i bardzo tęsknił za warszawskim gimnazjum, gdzie mógł imponować — tu jemu imponowano, nie oszczędzając go wcale. Wstydzić się zaczynał swego pochodzenia, to jest tego, na co poprzednio nie zwracał uwagi. Napisał w tym sensie parę listów do matki, bo mu się wydawało, iż matka go najlepiej zrozumie. Przed ojcem nie śmiał się zwierzać: ojciec był i pozostał dla niego jakąś osobą urzędową, do której można się zwracać w chwilach rzadkich i ważnych, w dodatku mając gotowy, określony temat do dyskusyi.

Matka, kobieta zresztą dobra i łagodna, zbyła go parokrotnie niczem — odpowiedzi jej zdradzały dziwną chwiejność i ślizganie się pomiędzy wy-czuwaną rzeczywistością i polegającą na różnych kompromisach praktyką powszedniego życia.

Pan Leon nie należał do natur upartych, energicznych, brakowało mu zawsze stanowczości, więc też dał pokój refleksjom, wywnioskował, że tak jak jest, tak być musi. Sprzeczności, rodzące się we własnej duszy, złożył na karb przesadnej jakoby wrażliwości swoich nerwów. Postanowił sobie żyć tak, jak żyją inni. Zamiast się przeto usuwać od towarzystwa, które go uważało w swem kole za intruza, lgnął do niego. Nabrał pewnej pozy arystokratycznej, podchwycił bieg myśli nie swój, przejął większą część subtelności eleganckiego młodzieńca — i gdyby nie nieszczęśliwa fizyonomia, zdradzająca pochodzenie z innej rasy, byłby się upodobnił z otoczeniem.

Tak minęło parę lat. Pan Leon, acz kiepsko, jednak bądź co bądź skończył instytut, założony pierwotnie dla potomków wielkich rodów magnackich.

Ojciec chciał go oddać do akademii handlowej — i pan Leon może dałby się być namówić, gdyby nie matka, która nie umiała pogodzić się z tą myślą, że najwłaściwszą rzeczą dla syna bankiera i kupca jest zostać także kupcem i bankierem. Namówiła więc męża, by jedynaka zwrócił na drogę studyów uniwersyteckich. Wybrano mu prawo.

Pan Leon znów rozpoczął odmienny okres życia na jednej z wszechnic niemieckich, okres, w którym o wszystkim nabrał pojęcia, tylko nie o nauce. Zabawy, bale, komersy koleżeńskie w „korze”, wypełniały mu całkowicie egzystencję przez dwa lata, po upływie których wrócił do Warszawy po to, ażeby w niej na zawsze pozostać. Wrócił, a za nim popłynęły do kantoru ojca stosy rachunków nieuregulowanych i weksli niewykupionych. Stary Edelberg wszystko to uporządkował, z synem miał potem bardzo długą rozmowę, rezultatem której było to, że pan Leon zaczął pracować w interesie firmy ojcowskiej.

Wszakże nie pracował, tylko powoli wciągał się w wir tego życia miejskiego, którego nicość obecnie najdokładniej po raz pierwszy zrozumiał i odczuł.

O ile ojciec mógł nim kierować, gdy był jeszcze młodzieńcem, o tyle teraz, gdy syn dorósł i miał w sobie zakorzenione przyzwyczajenia wielkopańskie, o żadnym kierowaniu mowy być nie mogło.

Pan Leon zapisał się do klubu, gdzie go przyjęto przez wzgląd na pozycję ojca; pozawiazywał eleganckie stosunki z młodzieżą arystokratyczną, grał w karty i przegrywał z miną wielkiego pana. Urządził się z przepychem; przyjmował u siebie w domu, a po za domem wydawał kolacye w wykwintnych restauracyach.

Ponieważ był łatwy w obejściu, gładki w stosunkach, a pieniądź zdawał się u niego nie grać żadnej roli, więc go lubiano i mile widywano nawet tam, gdzie dotychczas jego właściwa sfera dostępu nie miała.

Ale takie życie pociągało za sobą konsekwencje, o których pan Leon zapomniał. Wprawdzie dochody starego Edelberga były duże, jednak nie w tym stopniu, żeby mogły wystarczyć na nadmierne zbytki syna. Jakoż, co parę lat kończyło się na tem, że stary bankier musiał jedynaka ratować, jak mówiono na mieście, od niechybnej topieli, płacąc jego długi.

Pan Leon w takich momentach tracił kontens, zwłaszcza po bardzo burzliwych konferencyach z ojcem, obiecywał poprawę, a nawet seryo zabierał się do niej. Ojciec wystarał mu się o jakąś reprezentację wielkiej firmy zagranicznej, urządził mu sam osobiście kantor i zapełnił go swoimi pewnymi ludźmi. Gdyby pan Leon chciał, byłby dzięki potężnemu jeszcze poparciu rodzica stanął na mocnych nogach, ale pan Leon nie chciał i nie mógł chcieć: przyzwyczajenia nabyte stały się dlań drugą naturą — więc żył po dawnemu i w dawnym towarzystwie.

W tym także czasie myślano go ożenić z córką bogatego fabrykanta, któremu imponowała ta sfera arystokratyczna, w jakiej się kręcili Edelbergowie. To małżeństwo było marzeniem starego bankiera, ale marzenie pozostało marzeniem, ponieważ

pan Leon ani słyszeć chciał o podobnej kombinacji. Natomiast oświadczył ojcu, iż także myśli o małżeństwie, ale nie z żadną panną Morgenfest lub Morgenrot, tylko z panną Lacką, która należała do towarzystwa i w której się na swój sposób kochał.

Jakoż pan Leon naprawdę był zajęty panną Krystyną, którą poznał w domu siostry, gdzie Laccy dość często bywali. Imponowała mu ta panna nie urodą nadzwyczajną, bo tej nie miała, nie inteligencją, bo o nią nie dbał wcale, ale swoją dystynkcyą i rasowością. Nazywali ją też wszyscy znajomi rasową hrabianką.

Laccy byli niegdyś bardzo bogaci, ale życie wystawne pochłonęło znaczną część fortuny. Pozostał im dom w Warszawie i majątek w lubelskiem—jedno i drugie obdłużone w sposób nieprawdopodobny. Pomimo krytycznego stanu interesów, nie spuścili z tonu, przyjmowali u siebie po dawnemu, wydawali rauty i bale, licząc głównie na to, że syn się ożeni bogato, a córka również karierę zrobi w małżeństwie.

Istotnie, syn przystojny i elegancki młodzieniec, zdołał uczynić wrażenie wielkie na starszej od siebie, ale bardzo posażnej kuzynce: oświadczył się i został przyjęty.

Z córką było trudniej. Nikt z młodzieży arystokratycznej na seryo się o nią nie starał, ponieważ wiadano, iż panna nie posiada nic, prócz swej przepysznej rasowości, a że czasy były ciężkie, więc szukano przedewszystkiem majątku lub gotówki.

Ze sferą krajowych przemysłowców i fabrykantów Laccy nie utrzymywali bliższych stosunków, jakkolwiek posyłali westchnienia w tamte strony. To też opatrnościowym im się wydał konkurent, aspirujący do ręki ich jedynaczki, w osobie młodego, eleganckiego Edelberga. Jednakże, jako ludzie doświadczeni i znający zmienność rzeczy wszelkich, państwo Laccy trzymali pana Leona na dość przyzwoitej od siebie odległości. Panna Krystyna, dla której ów syn znanego bankiera sam osobiście nie przedstawiał żadnego szczególniejszego interesu, umiała doskonale wejść w swoją rolę. Pana Leona miała tylko w rezerwie, nie decydując się na stanowcze tak albo nie. W ostatecznym razie jedynie postanowiła sobie na niego podzielać, a wiedziała, że dokona swego, ile że pan Leon dość wyraźnie zaznaczał swoją dla niej słabość. Trwał więc ten cichy flirt, przechodzący niekiedy w czulsze napięcie, przez rok cały. Rezultat był taki, że serce pana Leona zapłonęło, a panny Krystyny pozostało zimne.

Prawdopodobnie skończyłoby się na tem, że panna wyrzuciłaby ze swoich karminowych usteczek magiczne słówko „tak”, gdyby nie karyera, którą zrobił brat, zostawszy narzeczonym bogatej dziedziczki wielkiej fortuny. Wówczas stała się rzecz przewidziana. Laccy poszli w górę, a opinia towarzyska zaczęła sobie o nich wyrabiać nieco odmienne zdanie.

Przytem hrabia Lacki powoli wtajemniczył się w interesy rodziny Edelbergów i poznał, że pokrewieństwo z neoficką firmą przez córkę ani dla hrabskiej korony, ani dla hrabskiego stanowiska społecznego zaszczytne nie jest.

Panna Krystyna odetchnęła całą pełnią swej wspaniałej piersi, a pan Leon ze swymi konkurami wydał jej się odrazu śmiesznym.

Stało się to przed paru dniami dopiero, a mianowicie wówczas, kiedy sprawa Oporów już zaczynała być w Warszawie głośną.

Pan Leon o tem nie wiedział, dlatego też, po ostatnim czulszym niż zwykle flircie z panną Krystyną, był pełen słodkich złudzeń co do swej, jak ją nazywał w głębi duszy, przyszłej pani.

W chwili więc owego porachunku z sobą huczało mu w głowie jedno: jak postąpić? Widział się zbankrutowanym doszczętnie, zależał w zupełności od ojca, a nie rozumiał egzystencji małżeńskiej z panną Lacką inaczej, jak na tle przepychu i zbytku. Doskonale sobie zdawał sprawę z tego, że taka żona, jak panna Krystyna, nie będzie się mogła zadowolnić skromną pozycją, jakaby on jej mógł stworzyć, a nie był tyle naiwny, iżby mógł na chwilę przypuścić, że wzniecił w jej sercu uczucie tak potężne, jak jakaś ognista, płomienna miłość, co to łamie wszelkie przeszkody i gotowa jest na poświęcenia różnego rodzaju.

Przypuściwszy nawet, że stary ojciec po raz

ostatni zapłaci wszystkie jego długi, to jeszcze pozostawała kwestya: z jakich materyałów usłać gniazdko dla żony z hrabiowską koroną. Pan Leon, choć pobieżnie, ale ostatecznie wiedział, na czym są oparte dochody ojca, wiedział także i to, że owe dochody zmniejszyły się znacznie i że nad całą rodziną zawisło widmo jakiejś gwałtownej katastrofy.

Wprawdzie szwagier mówił mu o sposobie wybrnięcia z topieli, o zatrzymaniu burzy, ale pan Leon ze wstrętem odrzucał myśl skorzystania z sytuacji — zbudziła się w nim wrodzona, nieuznająca kompromisów uczciwość.

I rosło w nim postanowienie wypowiedzenia się zupełnego przed panną Krystyną.

— Kto wie—błąkała mu się myśl—może ona mnie naprawdę kocha, a kochając, zrozumie położenie moje—i pójdzie za mną?...

Ta myśl zawierała w sobie ostatnią nadzieję lepszej, jaśniejszej przyszłości, której zarysy niepełne widział na innem niż dotychczasowe tle życia.

Wątpliwość atoli nie ustępowała, owszem, przybierała inny charakter — jakiejś rozterki wewnętrznej, jakiegoś ukrytego bólu, który potężniał i słabł w miarę, jak umysł chwycił narzucającą się brutalnie rzeczywistość.

Pan Leon próżno zdobywał się na spokój, próżno tłumił w sobie rozdźwięk, próżno wywoływał błyskotliwych nadziei wieniec barwny—marze-



nie jego chwiało się i chwiało na swych kruchych podstawach.

Potrzebował w tej chwili jakiego czulszego słowa, przyjaznego serca, kogoś takiego, co by go zrozumiał i pomógł do wydostania się z labiryntu wątpliwości, które go otaczały.

Przypomniał sobie tylko o jednym człowieku, towarzyszu ze szkół, o Jaskrowskim... Ten jeden miałby nań teraz wpływ, ten jeden mógłby mu być pomocny. Jaskrowski wprawdzie żył podobnie do niego w eleganckim świecie, ale prowadził egzystencję odrębną, inną - był daleki od wszelkich zakulisowych machinacyj. Jaskrowski zajmował stanowisko obserwatora obiektywnego, które odpowiadało jego sceptycznemu pogładowi na ludzi. Ten człowiek ze wszystkiego się śmiał i szydził, więc pan Leon przypuszczał, że i z jego sytuacji wyprowadziłby wnioski odmienne od tych, na jakie on sam zdobył się po długiej walce z sobą. — I dał pokój.

Wstał od biurka, listy porozrzucane pozbięrał, wrzucił do szuflady, przeszedł się jeszcze parę razy, obejrzał cały swój kawalerski apartament bardzo szczegółowo, jakby chciał wizyę jego zatrzymać na zawsze w swej duszy, poczem zadzwonił na służącego i kazawszy mu przynieść wizytowy garnitur, powlókł się do sypialni, by się tam ubrać.

Była godzina druga, kiedy się wysunął z domu.

Ponieważ na wizyty było zawczasie, więc wstąpił do restauracyi na śniadanie.

O godzinie trzeciej wsiadł do dorożki parokonnej i kazał się zawieźć do Alei Roż, gdzie mieszkali Laccy.

Wszedł do sieni. Na krześle, tuż przy wieszadłach, siedział lokaj w sutej liberyi, bezmyślnie patrząc na wielką łosiową skórę, wiszącą na ścianie, do której był przybity rycerski pancerz, pochodzący z tych widocznie czasów, kiedy to wojaczka stanowiła główne zajęcie szlachetnie urodzonych panów. Zoczywszy gościa, lokaj wyprostował się jak struna, podbiegł ku niemu i odebrał palto. Służba w domu hrabstwa Lackich była dla syna bankiera Edelberga z wielkim szacunkiem, bo zawsze doświadczała jego hojności.

Lokaje powtarzali sobie nieraz w kredensie:

— Ten żydek, to wprawdzie nie żaden pan, ale po pańsku płaci.

— Państwo w domu?—spytał pan Leon.

— Tak, jaśnie panie—odrzekł lokaj, skłaniając lekko głowę.

Poczem poszedł oznajmić przybycie gościa, o którym wiedział, że zawsze mile był przyjmowany.

Jeszcze chwila, i pan Leon znalazł się w salonie w obecności hrabiego Ewarysta. Nikogo więcej nie było.

— Dzień dobry panu!

— Dzień dobry.

— Proszę kochanego pana siadać, spocząć. A to, kochany panie, zadymka — niech lichy porwie, ani sposób wyjść!

— A tak — jęknął pan Leon, patrząc na uśmiechniętą fizyonomię człowieka, którego w myślach swych już oddawna tytułował papą.

— I pan na taki czas z wizytami? — zaczął znowu hrabia, lustrując swego gościa.

— Towarzyskie obowiązki zmuszają, mój hrabio.

— Naturalnie... — oczywiście... — powtarzał Lacki, częstując pana Leona papierosami.

A pan Leon wysyłał go do wszystkich dyabłów, ponieważ nie dla niego się tu wybrał.

Na chwilę milczenie zaległo. Lacki spokojnie puszczał dym z papierosa, a pan Leon bębnił nerwowo palcami po stole, przy którym siedział. Irytowało go to, że nikt się więcej nie pokazywał, że nie nadchodziła ta, z którą właśnie dzisiaj zamierzał stanowczą mieć rozmowę. Więc rzekł znowu:

— A gdzież to panie?

Lacki, zamiast natychmiastowej odpowiedzi, zaciągnął się mocno dymem i, przywoławszy na twarz jakąś kwaśną minę, zaczął go wolno puszczać w górę, następnie dopiero jął mówić:

— A, uważa kochany pan, panie także się

wybrały z wizytami Teraz mamy tyle rzeczy do załatwienia, że, dalibóg, nie wiem, wątpię bardzo, czy na czas wszystko będzie gotowe.

— Naturalnie — mruknął pan Leon — ślub Dyonizego...

— Właśnie, właśnie.

— Termin nieodwołalnie ten sam?

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć—nieodwołalnie ten sam... U nas, w naszej sferze, którą zresztą pan drogi zna, bo się w niej obraca, wszystko jest nieodwołalne, kiedy już raz zostało postanowione. Wszystko, panie, zwłaszcza zaś taki krok, jak małżeństwo.

— Wiem coś o tem — wtrącił pan Leon, któremu duszę zaczął przewiercać nagły smutek.

— Jak to dobrze, że my się na tym punkcie rozumiemy.

Pan Leon się skrzywił, a hrabia Ewaryst tak mówił dalej:

— Dyonizy przybija do portu: on kontent z tego, i my także jesteśmy zadowoleni. Pan wie, jaka to będzie doskonale dobrana para z tych dwojga młodych ludzi, dwojga spadkobierców tradycy i fortun wielkich.

Pan Leon pochylił się nieco, ażeby nie spojrzeć na starego wygę, ponieważ się obawiał uśmiechnąć zjadliwie, słysząc taką krzyczącą b'agę o wielkiej fortunie Lackich.

Tymczasem hrabia wolno puszczał dym w górę i ciągnął dalej:

— Pan mnie zna, panie Leonie, dobrze.—Zna pan także moje liberalne poglądy na świat; wie pan, że chcę nie być zacofanym, zakutym konserwatystą — przeciwnie, pragnę pozostać *à la hauteur du siècle*, a jednak nie umiem się pozbyć swej żywiołowości... Pan sobie zdaje sprawę z tego, czym to jest w człowieku to dziwne, a nieprzeparte uczucie przynależności do jakiejś określonej sfery społecznej?

Pan Leon podniósł zdziwione oczy na mówiącego i nie mógł zrozumieć, dlaczego on to jemu właśnie mówił—i odparł:

— Nie zupełnie chwytam treść tego, co pan chce powiedzieć.

Na to hrabia podniósł się z godnością z siedzenia i rzucając niedopalonego papierosa do srebrnej popielniczki, rzekł tym razem już głośniejszym głosem:

— Nie chwyta pan, hm... rzecz szczególna... Przecież pan, a nadewszystko pan był w możności poznać to towarzystwo, w którem się tak długo obracałeś.

Pan Leon zbladł nagle, potem poczerwieniał i jął coś kombinować, coś, co go poprostu przerażało.

— Liberalizm nasz niezupełnie się udał—wyrzucił z siebie Lacki.—Ja sam, jakkolwiek zawsze byłem liberałem nie tylko w religii, ale i w poglądzie na stosunki społeczne, drogą ciężkiej analizy przyszedłem do tego wniosku—że się myliłem.

— Tani to był liberalizm — syknął pan Leon złośliwie.

— Właśnie, to samo chciałem powiedzieć — podchwycił zrećźnie Lacki — z ust mi pan wyjął *le mot*. Tani, panie, jest ten liberalizm, który nie pochodzi z duszy, lecz z narzuconych doktryn *ludzi nowych*: Ja, uważa pan, ja... Lacki, uznający siebie i uznany przez innych za człowieka bez przesądów, czuję się w chwilach ważnych w mem życiu żywiołowo pociągnięty w stronę tradycyj, zdawałoby się zwietrzałych, a tymczasem żywych, takich żywych, jak sama natura. Niech sobie pan wyobrazi stopień uciechy mojej, którą mi sprawił Dionizy, przyniósłszy wiadomość o tem, że sobie wybrał za żonę nie jakąś tam pannę z obcej sobie sfery, ale ze swej własnej. Serce we mnie zabiło, dawne moje serce szlacheckie. Laccy odrodzą się w całej swojej szlachetności, w całej czystości swojej krwi.

Pan Leon nie mógł się już powstrzymać od złośliwego uśmiechu—i rzekł:

— Panna Bielska jest dziedziczką nie tyle wielkiego imienia, ile spadkobierczynią wielkiego majątku ziemskiego.

Lacki przygryzł usta, poczem zbliżając się do pana Leona, położył mu rękę na ramieniu:

— Pan wie — zawołał — że ja o majątek nie dbam!

— Nie wiem, panie hrabio.

— A to szkoda, bo mnie pan zna i powinien pan wiedzieć. Pan nie zdaje sobie sprawy z tego, ile ja złożyłem na ołtarzu tak zwanego liberalizmu, jak mi ciężko było nieraz przyjmować u siebie ludzi obcych mojej sferze, jak mi przykro było bywać u tych ludzi nowych! Czyniłem to, bom się łudziłem... Myślałem sobie: nie wolno się odgradzać murem chińskim, nie wolno. Ot, widzę, żem się srodze mylił. Dlatego szczęśliwym się czuję, że tylko ja sam byłem w błędzie, ale że błąd mój nie czeplił się serca syna... i nie zdeprawował duszy córki...

— Ach, tak?—wyrwało się z głębi całej istoty pana Leona, i uczuł nagle, jak mu krew napływa do głowy. Teraz dopiero widział jasno, do czego zmierzał liberalny hrabia.

— Tak, panie — zawołał Lacki — córka moja podziela moje obecne poglądy w zupełności!

— Przez tyle lat nie domyślałem się tego, owszem, domyślałem się czego innego.

— Bo wy, panowie, jesteście dziwni ludzie; zaraz myślicie co innego...

-- Istotnie, nie wiem, co ci panowie, o których hrabia mówisz, myślą, natomiast wiem, co ja sam osobiście myślę.

Lacki chciał coś nagle powiedzieć, ale się wstrzymał i po chwili dopiero rzekł wolno:

— Fortuny nowe chwieją się, a tradycje stare trwają siłą swej inercji żywiołowej. Odkąd przejrzałem rzeczy, sytuacje pewne, na które po-

przednio, niestety, nie zwróciłem należytej uwagi, przedstawiały mi się one w zupełnie innem świetle.

Pan Leon przygryzł usta aż do krwi, na twarz wystąpił mu rumieniec, miał przytem takie wrażenie, jakie ma człowiek, któremu wydaje się, iż leci w przestrzeń bez końca. Nie mógł słowa przemówić; słuchał dalej, a Lacki, zapaliwszy papierosa, jał spacerować po salonie z miną niesłychanie dostojną. Widocznie przejmował się rolą swoją męża, obejmującego szerokie horyzonty myśli społeczeństwa całego. Wreszcie stanął przed Edelbergiem i kiwnąwszy łysawą głową, powiedział:

— Tak, panie, źle jest z nami— to „z nami” zaznaczył podniesieniem głosu, dając osłupiałemu panu Leonowi do pojęcia, iż on się w zakresie tego zaimka nie mieści—źle jest! O, bo ja wiem, co mówię i wiem, na co patrzę, doświadczenie moje przydałoby się dla bardzo wielu z naszej sfery... Ale co ja panu będę powtarzał to, o czem pan wie, wszak pan zna tę naszą sferę— ot, pogadajmy lepiej o zdarzeniach dni ostatnich.

Pan Leon przychodził do siebie; zamiast jednolitego rumieńca, pozostały mu na twarzy tylko plamy czerwone.

— Pogadajmy o tym skandalu w Kredycie Krajowym, o którym pan najdokładniej musi wiedzieć, bo to przecież ojciec jego jest prezesem owej chwalebnej instytucji. Doczekał się nareszcie Konięcpolski zasłużonego afrontu, doczekał się... Mó-

wiono mi także, że Opory są zachwiane, czy to prawda?

Pan Leon już zupełnie ochłonął z poprzedniego wrażenia. Spojrzał na mówiącego tak ostro, że ten mimowiednie musiał wzrok skierować w inną stronę, i odrzekł zimno:

— Panie hrabio — głos mu drżał lekko — te sprawy, o których pan raczył wspomnieć, są naszymi sprawami... My sobie z nimi poradzimy! Koniecpolskiego bronić nie myślę, bo on mojej obrony nie potrzebuje, zresztą uważam go sam za marnego człowieka, za...

— Ale tak, tak. Wiem, co pan chce powiedzieć—przerwał Lacki, siadając obok gościa — i to także wiem, że wy, panowie, zawsze sobie dacie radę... Żeby wpaść, jak się to mówi, na to trzeba być jednym z naszych. Miecio Opaliński uwikłał się i jęczy pocziwiec, a za swoje honorowe prezesostwo zapłaci sowicie, gdyż słyszę, że, dla uregulowania przez zarząd zrobionych deficytów, zmuszony jest sprzedać całe Dzikowce. Z Zaborskim również kruchło, i ten biedak mitrą swoją nie pokryje długów Towarzystwa ulepszonych przedzalni. Podobno mu grożą procesem kryminalnym. Ciężkie czasy... Chwała Bogu, że ja jestem od tych spraw daleki. Ot, idę śladem ojców moich — uprawiam rolę i mam spokój, obecnie większy, niż dawniej, bom przejrzał, a ze mną przejrzały także i moja żona i dzieci moje.

— Hrabia szczęśliwy—wycedził ironicznie pan Leon i nie chcąc przedłużyć tej tyle przykrej dla siebie rozmowy, zwłaszcza, iż zrozumiał, o co staremu lisowi chodzi, wstał z krzesła.

Wtem za drzwiami, prowadzącemi do przedpokoju, dały się słyszeć jakieś zmieszane głosy. Pan Leon drgnął.

— To moje panie wróciły do domu — rzekł hrabia.

Jakoż niebawem do salonu wtoczyła się pani Lacka, a za nią wpadła panna Krystyna; obie były w wesołym usposobieniu, obie uśmiechnięte.

Pan Leon zbliżył się ku nim, panią Lacką pocałował w rękę, a pannie dłoń lekko uścisnął.

— Obrzydliwy czas—zaczęła matka, ściągając ze swych pulchnych placów rękawiczki.

— Dałyśmy pokój wizytom, nie sposób kręcić się po mieście—wydzwoniła córka.—A cóż pan porabia?—dodała, zwracając się do pana Leona, który z zachwytem ujmował w długiemi spojrzeniu jej prawdziwie harmonijną figurę.

I uczyniło mu się naraz żal tego wszystkiego, co zamierzał na zawsze porzucić, zrozumiał atoli i to także, że owa piękna panna, której seledynowe oczy błędziły po jego drgającej od wewnętrznego wzburzenia twarzy, stała mu się zupełnie obcą.

Nie było w niej nic z tego, co łączy dusze we wspólnej tęsknocie, we wspólnej radości i je-

dnakim smutku. Dzielili go od niej przepaść, a raczej jakaś zasłona przezroczysta niemal, lecz tak silna, iż niepodobieństwo było jej przerwać. Dawniej, przez rok cały, żył pod wrażeniem uroku, którego źródło biło na dnie duszy, teraz działał nań czar piękna fizycznego, bo panna Lacka istotnie była w tej chwili piękna.

Analiza owych zmieszanych poczuć trwała moment zaledwie, ale w tym momencie zawarło się całe wrażenie ogólne w związku z poprzednimi wrażeniami będące. Rzekł więc, zdobywając się całą mocą duszy na ton jaknajbardziej swobodny, gdyż czuł, iż wszelki tragizm byłby śmieszny, a bał się zawsze jak ognia śmieszności.

— Ja, proszę pani, robię to, co zwykle, to jest — nic... Chodzę do klubu, do teatru, zachwycać się wielkimi koncertami symfonicznymi i daję się porywać grze tego genialnego skrzypka, który wszystkich doprowadza do szału.

— O Kubeliku pan mówi? — wtrąciła pani Lacka, osoba, która, chociaż już dawno skończyła czterdziestkę, zachowała do tej pory znaczną część swoich wdzięków.

— Tak, pani.

— Wam w głowie Kubelik, a tymczasem czy warto waryować dla jakiegoś tam skrzypiciela? Ot moda, ale i ta przejdzie — moralizował Lacki.

— Mój papo, mój papo, proszę w ten sposób o prawdziwym artyście nie mówić, to geniusz, ge-

niuszl!... Jeszcze dzisiaj mówiła mi Kocia masę zabawnych rzeczy o jego genialności, a Kocia się zna... To pan Edelberg może zaświadczyć.

— Oczywiście, że się zna—mruknął pan Leon, ciągle stojąc na jednym miejscu i dodał:—Ja przyszedłem tu właściwie z pożegnaniem.

Piękna panna Lacka zrobiła minkę rozkaprzonego dziecka, które chce się zdobyć na smutek.

— Pan wyjeżdża?

— Tak, pani, jutro prawdopodobnie.

— A dokąd bogi poniosą?

— Pewnie do Nicei? — wycodziła hrabina. — Jeżeli tak, to pan pewnie zawadzi i o Paryż.

— Ach, papo, kiedy my się nareszcie wybierzemy do Paryża? — zawołała panna Krystyna, sunąc w podskokach do ojca, który stał przy oknie i bębnił w szybę.

— Jak będziemy mieli pieniądze — odrzekł hrabia i z całą powagą założył ręce na krzyż.

— A kiedyż my nareszcie będziemy mieli pieniądze?... Więc pan naprawdę do Nicei, potem do Paryża?...

Pan Leon spojrzał na nią tak, iż piękna panna się zmieszała: we wzroku prawie błyskawicznym młodego Edelberga zauważyła coś, co ją narazie zgniotło. Był to rzucony umyślnie, do niej skierowany, wyrzut człowieka, który ją niedawno jeszcze, ot wczoraj, może nawet dziś, ubóstwiał, dla której

w myślach swych stawiał świątynię, a który nią obecnie gardził.

I troska jakaś zmiotła nagle z jej twarzy, podobnej do oblicza klasycznej bogini, wesołość i swobodę. Uczuła się nieswoją.

A młody Edelberg rzekł wolno:

— Nie do Nicei jadę, panno Krystyno, nie na Paryż moja droga wypadnie: wyznaczy mi ją los twardy — i podał jej rękę na pożegnanie. — Dowidzenia pani, czas złudzeń minął, we śnie niezdrowym się rozwiął...

Poczem pożegnawszy się z hrabiną, w zdumieniu niemem chwytającą jego słowa, z Lackim, który z miną starego dyplomaty na niego spoglądał, wyszedł.

Przed domem czekała na niego dorożka. Pan Leon wsiadł do niej i kazał się wieźć do cukierni Loursa na Marszałkowską. Dlaczego jednak wybrał tę cukiernię, a nie inną, sam nie umiał sobie zdać sprawy. Ot, tak rzekł dorożkarzowi, ażeby wogóle coś powiedzieć. Myśli jego biegły nie w jakimś określonym kierunku, lecz czepiały się bezładnie jedna drugiej. Był oszołomiony, a jednak po tej okrutnej wizycie doświadczał pewnej ulgi. Ciężar mu spadł z serca, jedna z przeszkód sama się usunęła z drogi: z Lackimi stosunki zerwane — i dobrze... Teraz dopiero zrozumiał, jak był śmieszny ze swym afektem dla rasowej hrabianki — i to go właśnie irytowało najwięcej. Wykwitowano go z niczem...

Jeszcze parę miesięcy temu spodziewał się innego zakończenia, w tej chwili wydało mu się ono bardzo naturalnem i zwykłym. Pojął także i to, jak małą rolę odgrywała u Lackich jego własna osobistość, jego strona duchowa, a jak wiele zewnętrzność i pozycja. Ten stary wyga arystokratyczny z miną spadłego z etatu ambasadora, zachowującego w każdej sytuacji pozór przebrzmiałej dostojności, wyłożył mu najdokładniej w świecie, dziś właśnie, ukryty sens tego odłamu społecznego życia, w którym on, Leon Edelberg, brał powierzchowny udział. Bo tylko powierzchowny, gdy tymczasem dusza jego drzemała, zawisłszy ponad ustrojem zmiennych przejawów istnienia. Laccy tworzyli ten świat, który siłą okoliczności staczał się ku innemu, nowemu światu, co się dopiero wylaniał z niezmiernym wysiłkiem z mroku, ohydy i brudu życiowego. To nie dusza zbiorowa tych ludzi o świetnych tytułach i historycznych nazwiskach wzmagła się przez wchłonięcie świeżych pierwiastków społecznych, a chęć, żywiołowe pragnienie użycia, wyczerpawszy stare źródła dóbr, była za poszukiwaniem innych źródeł.

I czyniło się panu Leonowi od tych myśli, zrywających się jedna za drugą, nieznośnie. Czuł się ofiarą, ale ofiarą nie tyle własnych przywidzeń, ile przywidzeń całej zbiorowości społecznej, która z każdym dniem rosła i staczała się do śmietnika błyszczących pozorów, urojonych praw, zwyrodniałych pożądań...

Dorożka stanęła. Pan Leon wyskoczył z niej, zapłacił stangretowi, darząc go jeszcze sutym napiwkiem, i wszedł do cukierni.

W rogu, na wyściełanej żółtym pluszem kanapie, wprost okna, siedział Jaskrowski i, trzymając w rękę rozwinięty arkusz *Figara*, zdawał się czytać, choć co chwila spoglądał na snujący się po chodniku tłum przechodniów.

Pan Leon poskoczył ku niemu.

— Jak się masz, Franiu! — rzekł, podając mu rękę.

Jaskrowski podniósł na niego swe mądre oczy i ziewnął, mówiąc:

— *Vous voilà ici?*...

— Niespodzianka?

— A no bo tak. Ty tu teraz się przeniosłeś?... Na Marszałkowską? Może na kogo czekasz?...

— Et, wiesz najlepiej, jak daleki jestem od podobnych historyj, zwłaszcza obecnie.

— To doskonale... siadajże! Nowego nic?

Pan Leon siadł, kazał podać filiżankę kawy czarnej, ciastek i zabrał się do jedzenia, a Jaskrowski rzucił dziennik, przeciągnął się lekko i czekał:

— Często tu bywasz? — spytał pan Leon.

— Rzadko; może raz w tygodniu. Lubię od czasu do czasu wymykać się z towarzystwa, kiedy się w niem znudzę. Lourse się przerachował, urzą-

dzając tę kawiarnię na Marszałkowskiej i to dla eleganckiej publiczności, której tu niema. Zapełnione w przyszłości się to zmieni, bo ruch się tu z każdym miesiącem wzmacnia, ale do tej pory ruch ten nosi na sobie charakter specjalny. Dzielnica ludzi pracujących, urzędników, przemysłowców drobnych i episyerów. Nie masz pojęcia, czego ja tu nie widzę z tych okien, mam bajeczną kolorowość obrazków ulicznych.

— Których inni nie dostrzegają — wtrącił pan Leon.

— Oczywiście, że nie, to dla mnie.

— Szczęśliwy jesteś, dla ciebie świat cały jest obrazkiem, ty na wszystko patrzysz z góry.

— Bo z góry najlepiej widać — roześmiał się Jaskrowski i dodał — ale tymczasem co u ciebie słychać?

— Nie wiesz?

— Widziałem się wczoraj z twym szwagrem... jakiś zdenerwowany, choć, jak zwykle, promieniący. Gubię się w domysłach.

— Nie warto się domyslać — mruknął Edelberg.

— Słyszałem, że Opory nad przepaścią zawisły?

— I do ciebie to doszło?

— Znajdzie się zawsze ktoś, co wtrąci swoje słowo, może czasami nawet niepotrzebne... *A propos* skandalu w waszej instytucji, i jakże to będzie? Cóż,

ojciec twój uratuje Koniecpolskiego?... Czytałeś dzienniki? A to jadą po Koniecpolskim i z jaką namiętnością jadą...

— Powtórzę ci to, co przed godziną już w innem miejscu powiedziałem: oni sobie dadzą radę, ci Koniecpolscy... Przeczekają burzę, a może już jaką nową kombinację wysnuli, czy jednak wciągną do niej mojego ojca—nie wiem. Wszystko prawdopodobne. Zresztą, powiem ci szczerze, mało mnie to obchodzi, ja już swoje rachunki skończyłem.

— Cóż, w łeb sobie strzelisz?—spytał wesoło Jaskrowski.

— Na to zawsze mam czas!

— Więc do klasztoru wstąpisz?

— I na to mam także czas! — wyrzucił z siebie pan Leon i połknął odrazu pół filiżanki kawy.

Poczem skrzywił się, a pochylając się ku dawnemu koledze swemu, rzekł:

— Ty, Franiu, prowadzisz zupełnie inny żywot, aniżeli my wszyscy; niby należysz do naszego towarzystwa, a właściwie nie należysz—jesteś obserwatorem, bawisz się widokiem karykatur społecznych, które masz ciągle przed oczyma. My dla ciebie stanowimy przedmiot studyów jakichś i nic więcej. My śnimy na jawie, a ty patrzysz, przyglądasz się, zawsze jednaki, trzeźwy, zrównoważony. Nie możesz zatem odczuć całej goryczy istnienia próżnego, całej pustki egzystencji bezcelowej, albo

uganiającej się za mamidlami celów marnych, rozplywających się co chwila w zalewie namiętności. Ty rozumiesz, więc się tylko rozumnie śmiać umiesz, ale ja na przykład na twój olimpijski spokój zdobyć się nie mogę.

Jaskrowski, w miarę jak Leon to mówił głosem urywanym, przechodzącym w jakiś żal głęboki, stawał się poważniejszy: uśmiech ironiczny znikł mu z pięknej, męskiej twarzy, natomiast rozsiadł się na niej smutek prawdziwy.

Wziął Leona delikatnie za rękę i jął pytać:
— Co tobie jest? Tyś nie swój.

Młody Edelberg wlepił w niego oczy, w których drżała wielka troska i odparł z westchnieniem:

— Mnie źle jest na świecie. Gody moje się skończyły, masz przed sobą człowieka, co przejrzał i zdał sobie sprawę ze wszystkiego, czem żył i oddychał dotąd. I oto widzę się nędznym, pochylonym ku przepaści, z kądem wygląda na mnie potwór, ziejący bezwstydem i nikczemnością. Mam w duszy pogardę dla siebie.

— Dlaczego? Czy dlatego, żeś popadł w długi, z których wybrnąć nie możesz?

— Ach, te moje długi! Gdybym wiedział, że jeszcze raz mi je spłaca, że jeszcze raz mnie oczyszczą, byłyby one dla mnie błogosławieństwem. Myśl o nich, zatruwająca mi każdą chwilę od paru miesięcy, zaprowadziła mnie na drogę, którą wła-

ściwie powinienem był iść przez życie. Bankrut... pogardzony—oto czem jestem!

— A ojciec?

— Wszak wiesz, sam wspominałeś o Oporach, one się chwieją. Zaś moi już się dla mnie nie poświęcą. A świat mnie potępi... Mniejsza zresztą o sąd, jaki o mnie wyda—o mnie, którego mają za rozbawionego parweniusza, ocierającego się o hełmy rycerskie, o korony hrabskie i książęce. Mnie o coś innego chodzi, o sumienie własne, które mam i które czuję.

— A Laccy?

Pan Leon naraz zbladł, machnął rozpaczliwie ręką, mówiąc:

— Nie wspominaj mi o nich. Głupi, nieskończenie głupi byłem, że pozwoliłem się pociągnąć prądowi pożądań. Właśnie wracam od nich.

Zatrzymał się i odetchnął, poczem rzekł znów głosem cichym:

— Ja tobie to powiem, wiąże mnie z tobą nieć najlepszych wspomnień, młode nasze lata, ławka szkolna nas łączy.. Jakie to odległe, a jakie piękne! Wiesz, lata z tobą spędzone są teraz dla mnie jedyną osłodą w mem rozdwojonem, zawieszonem nad przepaścią życia. Ja je zabiorę z sobą i od nich rozpocznę—chcę, muszę rozpocząć nowy żywot... Ja tobie wszystko powiem, bo w tobie czuję człowieka, jednego, jedyne go w całej tej gro-

madzie opętańców, do której, niestety, tyle lat sam należałem... Właśnie od Lackich wracam, odepchnęli mnie—to rodzina komedyantów.

— Wiem o tem — mruknął Jaskrowski.

— On sam, hrabia, stary lis, ona, godna jego połowica, a panna—istota, w której się rasa tylko odbiła w sposób zewnętrzny, a taki doskonały, ale która niema za grosz tego, co się nazywa prawdą. Teraz dopiero widzę, jakaby to była dla mnie męka, gdybym się tak za późno obudził z ciężkiego a niezdrowego snu, w którym trwałem do tej pory. Tonęłem w niej, lecz nie zatonałem, topiłem się, lecz się nie utopiłem. Wyszedłem raz w życiu z po za tych kulis z godnością.

— Za ostro świat sądzisz, za ostro — przerwał Jaskrowski — mówi przez ciebie gorycz, świat i ludzie na nim, zwłaszcza tacy ludzie, nie są ani źli, ani dobrzy, żyją tem samem podwójnem życiem, jakim i ty żyłeś. Ty spoglądasz teraz na wszystko z najwyższego punktu, ogarniasz to, co przedtem było dla ciebie zasnuć przywidzeniem, przeto nie możesz sobie dać rady z nowym widokiem, który atoli nietylko jest obiektywnie ujętą wizją życia, ale zarazem całą seryą podmiotowych wrzeżeń. Oni, ci Laccy i inni do nich podobni, są to pionki na szachownicy bytu. Stwórz dla nich odpowiednie warunki, a zwyciężą i wysnują z siebie odmienną treść życia, wzniosłą, idealną... Ty się bronisz na swój sposób, a oni na swój, więc nie możecie się w tej chwili zrozumieć. Lacki nie jest

tylko chytrym lisem, a panna Krystyna tylko rasową hrabianką bez sumienia i uczuć głębszych, oni udają, bo muszą udawać. Wszystkiem zaś rządzi konieczność, i nikt się z jej szponów nie wyrwie... Kiedy się uspokoisz, będziesz patrzył inaczej... ja ciebie znam, bo cię poznałem w tych latach, kiedy naiwność wyprowadza na jaw najwewnętrzniejszą istotę człowieka, ale nie żądaj, żeby cię oni znali. Oni na ciebie patrzyli inaczej, tyś dla nich był synem bogatego człowieka, który ogromnie dużo mógł; tyś dla nich był osobnikiem ogładzonym, znielowanym w eleganckiej atmosferze, ułożonym, gotowym do życia, do ich życia...

Pan Leon powiódł ręką po czole i zawołał:

— Może ty masz rację. W tej chwili jednak nie jestem zdolny wyczuć twych myśli, choć je ni-
by rozumiem. Teraz ja muszę patrzeć tylko ze swego punktu widzenia i wiem, co mi wypadnie uczynić. Gdybym się zabrał do przewałkowania z takim trudem nabytych sądów, gdybym się jeszcze raz przeanalizował na tle dotychczasowego życia, możebym nie wyszedł z błędnego koła, możebym się nie wyrwał... A ja się wyrwę, więc potrzebuję skupić wszystkie swe siły, by dotrwać w postanowieniu, ty zaś wiesz, jak jestem słaby.

Wstał, zawołał na garsona, za kawę zapłacił i podając rękę Jaskrowskiemu, rzekł jeszcze:

— Bądź zdrow! Może się już nie zobaczymy; pierwszym i może ostatnim jesteś, z którym tak szczerze mówię...

— Cóż ty postanowiłeś robić, wyjeżdżasz? — pytał poruszony do głębi Jaśkowski.

— Postanowiłem pracować tak, jak inni — i dodał z ironią — a wiesz, z jakiej sfery pochodzę i jakiego rodzaju może być ta moja praca... Wyjeżdżam, być może, dziś, byle się usunąć od tych ludzi.

Jaśkowski spoważniał, na twarzy jego odmalowało się współczucie i rzekł:

— Tyś na dobrej drodze, z ciebie może się jeszcze wynurzyć inny człowiek. Bądź zdrów, życzę ci powodzenia z całego serca!

— Dziękuję — wyszeptał pan Leon i znikł za oszklonemi drzwiami cukierni.

Wieczorem około godziny ósmej był w gabinecie swego ojca.

Stary Edelberg siedział przy biurku i coś obliczał na skrawku listowego papieru. Trwało to przeszło dziesięć minut, dziesięć długich dla pana Leona chwil, w ciągu których jeszcze raz przesunęły mu się przez głowę myśli, łączące go ze światem szyku i życiowej nędzy.

— Skończyłem! — wyrzucił z siebie stary bankier i skrzywił się!

Poczem wyjął z kieszeni chustkę, przetrął binokle i osadził je na swoim długim, rozdętym nosie.

— Nareszcie doczekałem się ciebie, a czekałem, przynasz sam, trochę za długo — tu kiwnął głową parokrotnie i poprawił binokle.

Pan Leon nie nie odrzekł; siedział naprzeciw ojca i lustrował nerwowo mapę Europy, wiszącą na ścianie.

— Czyniłem w tej chwili aproksymatywną kalkulację twoich długów; nie wiem, czy obliczenie moje zgadza się z rzeczywistością, weź i przejrzyj!— To mówiąc podał mu porzucony dopiero co skrawek listowego papieru.

Pan Leon drgnął, dostrzegł w zwykłe przyćmionych od starości oczach ojca coś niezwykłego, błyski jakieś ironiczne. Spojrzał na papier pobieżnie i rzekł, zdobywając się na spokój:

— Mniej więcej tak.

Stary Edelberg podniósł głos:

— Co to znaczy mniej więcej?.. Ty pozycje sprawdź: mogłem się pomylić...

W brzmieniu jego mowy czuć było sarkazm ostry.

— Pozycje są zgodne z rzeczywistością: ojciec został dokładnie poinformowany—tylko brakuje paru tysięcy, o których nikt nie doniósł.

— To jest, chcesz powiedzieć: nikt się do mnie o ich uregulowanie nie zgłosił? Informacje!.. Żebyś ty, człowieku, wiedział, ile mnie one resztki sił moich kosztowały?!.. Bo w mym wieku nie mówi się już o nerwach, tylko wprost o życiowych siłach. Ja jestem stary, lada dzień może mnie Ten wielki ktoś powołać, Ten ktoś, co na pamięć przychodzi, kiedy się szczęścia lub nieszczęścia zbyt

nad człowiekiem nagromadzi... Ale, co ja ci o tem będę mówił; czyż mnie ty zrozumiesz, ty, ty?!...

Głowa starego Edelberga stała się wprost groźną; oczy mu latały, rzucając iskry, wargi się rozdeły, nabierając czerwieni naglej. Człowiek się przetwarzał pod wpływem wewnętrznego wzburzenia.

— Ty mi powiedz, co ja mam z tem robić? Cały gmach naszej chwały trzeszczy... naszej chwały złotej... Ha, ha, ha!.. Była złotą, ale wówczas, kiedy żył ten — i wskazał drżącą ręką, dziwnie foremą i wąską, na portret w bogato złożonych ramach.

A wyobrażał ten portret założyciela potęgi finansowej Edelbergów, owego słynnego Natana Edelberga, który był w rodzinie cytowany, jako jeden z twórców wielkiego przemysłu krajowego.

Malarz umiał w rysach tego męża uwydatnić całą żywiołowość natury silnej i pysznej ze swej siły. Zwieszała mu się na białym gorsie dekoracya orderowa, dar monarszy, napałniający rodzinę całą dumą wielką.

— On nie żyje, ale widzi... Patrz, jak on spogląda i drwi sobie ze wszystkiego, co jest słabością a nędzą. Tyś wnuk jego, i on się przygląda twej nędzy. On dla ciebie budował pałac złoty; byłbyś w nim mieszkał, gdybyś był chciał... ale tyś zwał z pośpiechem wznoszone przezemnie mury, mury, wznoszone dla ciebie... On się z nas obu śmieje.

I patrzyli syn z ojcem na ten portret założyciela potęgi, ich własnej potęgi, która się łamała i już gotowa była runąć im na głowy.

— Ja niezadługo połączę się z nim — rzekł znowu stary bankier — alé ty, ty, Leonie, żyć będziesz, bo będziesz...

— Więc czego ojciec chce odemnie? — wtrącił szeptem syn.

— Czego? Czego? Ach!.. W tej chwili jesteśmy sami; przezemnie mówi żalść; ja wypowiadam głośno myśli moje — bo ich już utrzymać w sobie nie jestem w stanie — one mi odbierają resztę sił, tyle w tych czasach potrzebnych sił.. Ćwierć miliona! Znowu ćwierć miliona! Czy ty, synu, wiesz, co to znaczy ćwierć miljona?

— Teraz wiem.

— A! teraz? Ćwierć miliona, to, człowieku, nieskończona serya wysiłków, pracy, zachodów... i jakich zachodów!.. upokorzeń — i jakich, jakich?!..

Nastąpiła długa chwila ciężkiego milczenia. Staremu Edelbergowi głowa opadła na piersi — oddychał z trudem. Naraz wstał i zaczął, założywszy ręce w tył, spacerować po pokoju. Było cicho, tylko zegar, stojący w rogu na ciemnej marmurowej konsoli, dygotał monotennie.

Wtem stary bankier zatrzymał się przed synem i kładąc mu dłoń na ramieniu, rzekł:

— Wiesz, co ja zrobię?

Pytające spojrzenie pana Leona oparło się na ojcu całą mocą skupienia.

— Ja tego płacić nie będę!

Pan Leon zbladł.

— Nie będę — powtórzył stary Edelberg, kiwając głową.

— Więc co ja zrobię?

— Rób co chcesz; jesteś pełnoletni, odpowiadasz za swoje czyny. Ja nie zapłacę, bo nie mam czem. I mój dom i dom Sławoborskich się na mnie zwali, taki piękny, *echt* francuski dom, który miał być ich hrabską koroną ozdobiony... Dobrze hrabstwo! Klementyna buduje grób dla rodziny... piękne mauzoleum...

Stary trząsł się, jak w febrze; śmiech mu się zrywał, niby zgrzyt brzytwy tępej!...

— Ojciec wie, że jestem kompletny bankrut — jęknął pan Leon.

— A ja się bronię przed bankructwem, do którego ty mnie systematycznie spychasz — wykrztusił stary Edelberg i dodał, patrząc groźnie na syna: — Muszę ci jednak powiedzieć, żebyś odpowiednio zmodyfikował moje myśli, iż ja, Stanisław Edelberg, postanowiłem sobie umrzeć w tym samym pałacu: który nieboszczyk mój ojciec razem z Oporami kupił od unitrowanego marnotrawcy. Ja sobie postanowiłem wytrwać na tej placówce naszej przebrzmiałej potęgi finansowej i pozory własnej arystokracji utrzymać. Będę przeto ostatnim z Edelbergów, co żył, jak wielki pan, nie gorszy od innych wielkich panów!

Kiedy to mówił, wszystkie zmarszczki na czo-
le zbiegły mu się w jedną grubą fałdę kształtu
rozwartego kąta, znaczącą się wzwyż wypędlonych
brwi.

— A co ludzie powiedzą? — z rozpaczą zawołał
pan Leon i podniósł się z krzesła — co powiedzą
ci, którzy mi zaufali, wierząc w płatność naszej
firmy?

— Powiedzą, żeś łajdak, taki sam łajdak, jak
tylu innych.

— Ach!

— No, bo tak! Ja się wycofam, stanę na
uboczu; na mnie nic nikt nie będzie śmiał powie-
dzieć, ja zawsze będę znaczył...

— Ale nie u tych, o których ojcu chodzi:
nie u naszych znajomych, książąt i hrabiów—wtrą-
cił z goryczą pan Leon.

Stary Edelberg kiwnął głową i zatopił swój
wzrok w mówiącym, poczem rzekł znowu:

— Opory trzeszczą, na wszystkie strony szu-
kam sum potrzebnych do przetrwania zastoju i nie
mogę znaleźć. Jeszcze parę tygodni—i rozpocznie
się przymusowa likwidacja interesów. Próbowałem
wciągnąć Koniecpolskiego, ale ten cieszy się jeno
z naszego nieszczęścia. Akcyj Kredytu Krajowego
mamy tylko tyle, ile jest niezbędne, żeby coś w za-
rządzie znaczyć, żeby utrzymać pozory... gotówki
w kasie na opędzenie zwykłego trybu życia zale-
dwie starczy. Ratunku czekam!... I wobec tego, ty

chcesz, żebym ja twoje długi płacił po to, byś znowu błyszczał, jak złota ćma, w świetnym gronie swoich towarzyszków. Ty teraz, synu, myśl o sobie. Może masz jaką kombinację, to powiedz?

— Mam!— ponuro zawołał pan Leon.

— Jaką?

— Wyjadę ztąd, zerwę wszystkie stosunki i wezmę się do pracy.

— Ha, ha!..—zaśmiał się ironicznie ojciec. — I ty to mówisz? Ty, któryś nigdy naprawdę nie pracował?... A dokąd to myślisz się udać, jak zamierzasz pracować?

— Jak?... Tak, jak ludzie z mej sfery, z mej rasy pracować zwykli; muszę zarabiać, bo muszę uczciwie wyjść z całej tej sprawy.

— Kto uczciwie zarobił krocie?—mruknął pod nosem stary Edelberg.—Co ty, człowieku, zarobić możesz? Nawet przy najlepszych chęciach jesteś w stanie zarobić tyle, ile zarabia skromny urzędnik drugorzędnego kantoru wekslarskiego. Ty musisz co innego wymyślić. To, o czem mówisz, jest poezią, efektem buduarowego romansu.

— Więc cóż mi pozostaje?

— Co? Co?.. powtórzył, jak echo, ojciec. — Zrób tak, jak inni robią: ożeń się bogato... Ze zbankrutowaną szlachtą daj sobie pokój, to było dobre, ale już nie jest.

— Wiem o tem — i dałem sobie pokój, nie myślę o żadnych umitrowanych pannach, o żadnem

towarzystwie, do którego wdarłem się przez głupotę własną i nabytą.

— Nabytą od kogo?

— Od was, moi rodzice—wyrwało się z głębi duszy panu Leonowi, i zaplonał.

— Od nas?

— Tak... Wy wprowadzaliście mnie na tę fatalną drogę, a ja nie miałem dość siły, żeby się w porę cofnąć. Bo powiedz, papo, co mógł mieć wspólnego Edelberg, parweniusz, na którego czole było napisane ostro, wyraźnie jego pochodzenie, z Mirskimi, Opelskimi, Zadurowiczami?.. Wszak śmieszny byłem, a śmieszność tę odczułem dopiero teraz, niestety, kiedy, bodaj, czy nie na zawsze straciłem poczucie własnej godności, zaprzepaściłem przyrodzony spryt, wyzbyłem się zdrowego rozsądku, łączności ze swoją sferą, do której należę, a której kazaliście mi się brzydzić od samego dzieciństwa. Za słaby byłem na to, żeby się nie dać wciągnąć w zawrotny wir zabawy i błyskotliwego życia, więc teraz cierpię.

— Ty mi wyrzuty czynisz?

— Nie tobie, papo, twoja próżność miała i ma granice, boś ty bezpośrednio odziedziczył po Natanie Edelbergu część żelaznego charakteru, stalowej woli. Ja poszedłem koleją tych, co żyją w przywidzeniach, nie myśląc o tem, że świat się z nich śmieje. Rasa się we mnie odezwała, rasa trzeźwa, sceptyczna - odezwał się we mnie głos żywiołu mego.

— Nie poznaję cię!

— Boś się, papo, o poznanie mnie, twojego własnego syna, nigdy nie starał; byłem dla ciebie w najlepszym razie spadkobiercą prezesowskich tytułów, bankierskich instytucyj, następcą dynastycznej linii jakiejś dziwacznej arystokracji, która chłonie w siebie wszelkie przywary starej polskiej arystokracji, pozbawiając się własnych zalet i talentów. Oni mają także swoje cnoty, ale tych my nigdy nie odziedziczymy, nie odczuwamy ich nawet, bo natura kazała nam być tylko samymi sobą.

— Kto cię tego nauczył?..

— Głupi, taki głupi, za jakiego mnie bierzeć, nie jestem—więc musiał nadejść moment, w którym mi się naraz oczy otworzyły.

Stary Edelberg drwiąco spojrział na syna i zawołał:

— To ty sądzisz, żeś mi nowość jaką powiedział, że ja o tych „ogólnych rzeczach” pojęcia nie miałem?..

— To ty, papo, rozumiesz, boś jest mądry, naprawdę mądry — odparł pan Leon — ale wątpię, czy równocześnie to samo odczuwasz?

Edelberg poruszył parę razy głową i zwrócony w stronę patrzącego z portretu ojca swego, jął mówić przyciszonym głosem:

— W tem leży tragedia mojego i twojego życia; w tem streszcza się sens tego fatum, co w nas, żydach, wszechwładnie panuje... Mylisz się,

synu, jeżeli ci się wydaje, że żyd mądry jest tylko mądrym do robienia interesów, do wyszukiwania dróg, na których złoto się mieni i do kas jego płynie. Niestety, nie; ta rasa, przez Jehowę wybrana z pośród innych ras ziemskich, czujną jest więcej, niż każda inna—dlatego egzystuje i egzystować będzie na mocy owej swoistej, niezależnej od wszelkiego rozumowania nadwrażliwości...

Ach, my to czujemy, czego inni odczuć nie są w stanie; my czujemy obcość swoją i to taką obcość, z którą nic w porównanie iść nie może. Nasza odmienność płynie z czasów tak odległych, iż się w nich myśl realna doli ludzkiej gubi — nikt nie świat cały zamarły, na zawsze zamarły, nikną narody i ludy przed wiekami znaczące swój byt i wcielające marzenia swe olbrzymie w tenże byt—a my trwamy. Rozdzieleni, rozłamani zewnętrznie, przetworzeni pod pewnym względem, trwamy całkowicie — i próżne są wysiłki tych, co nam zgubę przyobiecali, aż do ostatnich granic możliwości. Próżne są wysiłki, próżne były wysiłki...

Ci przedwieczni nieprzyjaciele rasy naszej, Chaldejczycy, Grecy, Rzymianie przeszli — i niema z nich nic; przepadli w rozgromie ogólnym, stając się żywiołem zapładniającym kulturą narody nowe... Nieszczęsna rasa bez wiary, onej biblijnej wiary, a z przesadami potwornymi wyrosłemi na gruncie biblii, bez jęzka własnego, bez obyczaju swojego — żyje i czuje... Przerodzona, przepleniona do tego stopnia, iż dawnej krwi, podobno, zdaniem uczo-

nych, ledwo trzydziesty procent w sobie mająca, ta rasa żyje i czuje... czuje obecność swoją, czuje tragicizm swój, czuje nędzę swoją!

Tu stary Edelberg podniósł rękę do góry i stał się innym; w oczach zapłonął mu ogień, ogień tragiczny.

Pan Leon nigdy go w takim stanie podniecenia nie widział dotąd: i dostrzegł w tym starym człowieku coś więcej, niż ojca rodzzonego — miał przed sobą grozę żyjącą, uosobioną zagadkę bytu całego plemienia, do którego należał, a którego duszy nie rozumiał. I zawołał:

— Ojcze, ja ciebie zaczynam pojmować.

— Ha, ha, ha!... Zaczynasz mnie pojmować — zaśmiał się nerwowo stary Edelberg — zaczynasz mnie odczuwać, a raczej to, co, jak mogłem i ile mogłem, starałem się przez życie całe w duszy mej ukryć. Nie udało mi się. Ty, synu, masz rację — jam winien, że w tobie, wypleniając żydowstwo, popchnął cię zarazem na drogę zguby — bo ty zginiesz i musisz zginąć! Ułuda moja, nie, słabość moja pomściła się na mnie. Żydowstwo z ciebie wyprzeć chciałem — ja mądry, taki mądry — chciałem... Tak, ale nie mogłem ci wlać do serca innej żywiołowości, której sam nie mam. Podobnym też do człowieka, co przyjacielowi swemu wytrąca z ręki broń jedyną, nie dając mu innej, kiedy na niego wróg serdeczny naciera. Wziąłem ci odpor rość zabrałem ci właściwość twoją, naszą, a nie dałem

odporności innej, nie naszej. Oto, pomścił się na mnie los, pomścił się Jehowa zdradzony, symbol, idea, osnowa, serce naszego plemienia. Mój ojciec był mądry, bo on mnie trzymał, pókim był młody, zdala od tego, co nie jest nasze... Sołowejczyk był mądry, bo mi także odradzał... oni byli mądrzy w czynie, ja tylko w swych myślach, w swych sądach...

— Więc ty, ojcze, żałujesz, że jesteśmy ochrzczeni?

— A tak!

— Nie, to być nie może?

— Masz skutki; tyś jest owocem tych tranzakcyj nieszczęśliwych.

— Więc tyś pozostał Żydem?..

— A jakżeś ty sądził? Nie mocen jest pojedynczy człowiek zmienić natury swojej: czem się urodził, tem na wieki wieków pozostanie.

— Przecież inni?...

— Niema wyjątków; wieki przejść muszą, pokolenia przerobić muszą żywioł obcy, ale nie moment, chwila — gdyż długi lat szereg jest w bycie chwilą tylko.

— Ach!

— Inni są tacy, jak my; niema wyjątków! I ci, co w nasze ślady pójdą, a pójdą; ot, już idą... Widzę ich na tle przyszłości — i ci także mocować się będą, by zmienić istność swoją, to jest to, co zmiennem nie jest...

— A gdzie koniec tej męki?

— Nigdzie, synu! Losami rządzi wielki Jahve, co stwarza człowieka i każdą rzecz — Jahve, ten nasz Bóg, jeden, osobowy, znaczący mądrość swą na dziełach rąk swoich.

Drżał głos staremu Edelbergowi, gdy mówił te słowa, co pochodziły z wewnętrznego odczucia potęgi plemiennego bóstwa.

Pan Leon opadł na krzesło. Znowu zaległo milczenie, głębokie milczenie dwojga znużonych dusz.

— To być nie może...

— To jest...

— Ojczy, zmiłuj się nademną i nad sobą! — błagalnie wyszeptał pan Leon.

— Przedstawiłem ci tragedję naszą — wolno jał znowu mówić stary Edelberg — bo tego żądałeś. Więcej odemnie nic w tym rodzaju nie usłyszysz, albowiem lata moje, a może miesiące nawet są policzone. Pragnąłem tylko, ażebyś wreszcie poznał mnie i nędzę naszą wspólną.. A gdy cię los wyrwie ze szponów nieszczęścia, bo dla Żyda takiego, jak ty, nieszczęściem ubóstwo nazwać trzeba, to będziesz umiał lepiej pokierować życiem innych, może dzieci swych, aniżelim ja to potrafił. W każdym razie wiesz, czego się trzymać. Ja ślepym nigdy nie byłem, chyba w tych razach, skoro sam tego chciałem.

— Co moje życie teraz znaczy? Wyjęty z ży-

cia zostałem — wtrącił pan Leon i dodał cicho:—
Pokończyłem rachunki z dotychczasowym światem
swym, jużbym nawet do niego nie wrócił, gdybym
mógł... Zerwałem nić serdeczną. Ojcze, ty wiesz,
kogo mam na myśli?

— No?

— Lackich!

Stary Edelberg skrzywił się mocno, i na przy-
bladłych pomarszczonych ustach zaigrał mu uśmiech
ironiczny:

— Powiedz szczerze—rzekł—po co te blagi;
wykwitowali cię owi hrabiowie?

— Nie dopuściłem do tego; zostało mi tyle
energii, że się wycofać zdążyłem z pozorem form
światowych, które znam.

— Aha, formy zostały.. zachowane zostały!
Oczywiście, myśmy przedewszystkiem ludzie form
nabytych, przejętych, niedostrojonych do naszej tre-
ści, kiepsko pokrywających nasze ciała... Wydaje
mi się, iż dojdzie do tego, że nikt lepiej od nas
nie będzie obserwował reguł poloru towarzyskiego.
Świat cały posunie się o parę stopni wyżej, a my
zawsze pozostaniemy w tyle — wiekuiści spadko-
biercy przeżytków kultury społecznej. Przyjrzyj się
naprzykład, choćby naszej Klementynie? Czy któ-
ra z prawdziwych, rasowych hrabin potrafi tak
w tonie utrzymać dostojność swoją, jak ona? Gdy-
by nie podobieństwo do każdej z pań Koniecpol-

skich, Morgenfeldów, Rabinersonów, możnaby ją wziąć za którąkolwiek z barokowych arystokratek XVIII wieku. Ale, niestety, ta zewnętrzność zdradza ją i pozwala myśleć o niej, jak się myśli o żydówce pospolitej.

— Po co ta ironia? — wyrwało się z wykrzywionych cierpieniem ust pana Leona.

— Po co? Ot, tak sobie: mówię o tem, bo jestem z tobą sam na sam--my się rachujemy z sobą, mój kochany! Nateraz dam jednak tej materii śmiesznej, tej humoryście żyjącej, spokój, a powiem ci, iż cieszy mnie to bardzo, że cię Laccy wykwitowali, że przestaniesz wzdychać do tej ich lalki bez rozumu i serca. Jużes uczynił krok w kierunku poprawy, uznawszy całą nielogiczność swego postępowania. Będę też z tobą mówił inaczej; jeszcze raz ci pomogę do wybrnięcia z bagna, w jakim siedzisz po uszy.

— Zapłać, ojcze, moje długi — gorąco podjął pan Leon — jeszcze raz jeden, ostatni, a wówczas ja, oczyszczony, inaczej żyć zacznę; pokażę, co uczciwość w połączeniu z pracą i sprytem może!

Stary Edelberg kiwnął głową, a uczyniwszy przeczący ruch swoją foremną ręką wąską, odrzekł:

— Nie to miałem na myśli, lecz co innego, zupełnie inną kombinację.

Pan Leon z zapartym oddechem w piersi słuchał, gdy ojciec ciągnął dalej:

— Ja twoich długów nie spłacę, bo nie mam pieniędzy; moje i Natana Edelberga resursa już się wyczerpały — resztkami wielkiej fortuny opłacam pozór egzystencji świetnej. A nic z niej uronić nie mogę, gdyż razem z wami wszystkimi ekspresami zjechałbym na samo dno nędzy ludzkiej.

— Więc?

— Więc wszystko od twojej woli zależeć będzie...

— Od mojej?

— Tak.

— Nie rozumiem...

— Zaraz ci wytłómaczę.

Tu stary Edelberg usiadł w fotelu, a wzięwszy w rękę jedną z leżących na stole gazet, zaczął nią trząść w powietrzu, przyczem złośliwość mu drżała subtelna w oczach błyszczących.

— O awanturze z Koniecpolskim w Kredycie Krajowym wiesz; musiałeś dzienniki dzisiejsze czytać.

— Wiem, czytałem, ale...

— Znasz mój stosunek do tego Żyda wstrętnego, co się zawziął, ażeby nas zgubić, upokorzyć i zepchnąć z tego piedestału, na którym, pomimo wszystkiego, dotychczas się trzymamy?

— Znam, więc?...

— On mnie wczoraj rano przyprawił o wstyd, ale los mi sam nastreczył sposobność zemsty; skompromitowałem go, ja sam, choć jemu się wydaje,

że tym, co go zełżył, upokorzył, ośmieszył był tylko urzędnik banku, jeden z owych robaków, o których się wie tylko tyle, że żyją. Zemściłem się i doświadczyłem uczucia rozkoszy, w moim wieku bodaj jedynej. Chciałbym to zostawić w zawieszeniu, chciałbym go, tego aroganta, jeszcze bardziej uwikłać — a mam sposoby — ale czynię ofiarę dla was, dla ciebie, wielką czynię ofiarę...

— Boże, jakie to wsrętne! — jęknął pan Leon.

— Ze wstrętów składa się życie ludzkie; charaktery silne tworzą sobie z nich narzędzia do swoich czynów. Tak robił mój ojciec, tak robiłem ja; a ty się bawiłeś... czyli, myśmy to robili, żebyś ty się bawił i grał rolę wielkiego pana. Otóż, słuchajże dalej! Koniecpolski jest w moim ręku, mogę go wybawić z kłopotów, ale za to wybawienie chcę go użyć dla dopięcia mych celów własnych.

— Jakich?

— Zaraz zobaczysz.

— Ja się już domyślam...

— Tem lepiej...

— Ty, papo chcesz, żeby za uspokojenie opinii publicznej, zawziętej na Koniecpolskiego, ten ostatni zgodził się na oddanie mi ręki córki swojej — tak?

— Tak...

— Aha, Sławoborski mi o tem wspominał, chociaż on ma swoją własną kombinację...

Stary Edelberg uderzył ręką w biurko i zawołał:

— Tu moja wola wszystkó znaczy! On chce córki Koniecpolskiego dla Artura, ale nic z tego nie będzie; ja muszę myśleć przedewszystkiem o swoim własnem nazwisku, którego ty zostałeś spadkobiercą. Dynastya nasza trwać ma dalej!

— Dynastya?.. Co ojciec mówi—nowa arystokracya?!

— Tak... i nie gorsza od starej... Na założenie fundamentów pod nią pracowaliśmy, ja i twój dziadek. My także szlachta. — Ja ciebie, a przez ciebie resztę rodziny uratować pragnę! Otóż ja wiem, że Koniecpolski chętnie się zgodzi na taką transakcyę; ja mu podpiszę komunikat publiczny, potępiający owego urzędnika, a stawiający jego samego w uczciwym świetle wobec świata, on zaś weźmie cię za zięcia, z którego będzie kontent. Opory zostaną uratowane, bo zyskamy nieocenibny kredyt, albowiem Koniecpolscy rozporządzają ogromnemi środkami. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale... z tego nic nie kędzie — wyrzekł z mocą pan Leon. — Ja się o pannę Koniecpolską starać nie myślę, bo mnie z nią nic nie łączy, bo jej nie znam, a tych żydów-lichwiarzy poznać również nie pragnę!..

Stary prezes zmarszczył brwi, ironia mu z oczu uciekła. — Stał się podobny do sępa, który broni swego gniazda.

Podniósł się, a chwyciwszy drżącą ręką skrawek papieru, zapisanego pozycjami długów swego jedynaka, rzekł stłumionym głosem:

— To było... Ja także ich nie cierpię, tych Koniecpolskich, ja także Natana nienawidzę — gotówbym mu przepaść wykopać, gdybym mógł... ale nie mogę.

Oczy mu się zaiskrzyły, jak w febrze.

Mówił dalej, a coraz mocniej; w jakimś ponurem ryczeniu łamały mu się słowa:

— A jednak, ja ofiarę czynię ze swej nienawiści... czynię ją dla was, nie — czynię ją dla ciebie—choć jesteś mi ty taki wstrętny—bo oto w tobie widzę wyższy szczebel naszego domu, który od stu lat stawiamy, domu, pałacu—przywidzenia naszego: a ja je nadewszystko kocham. Ty już nic nie zrobisz, boś ty się wyrodził, ale robi twój syn, twój wnuk... Ja żyję marzeniem tego wnuka przyszłego, który będzie zrozumieniem samem moich pożądań, moich zawrotów, moich dążeń... W nim, tym, co ma przyjść, odrodzę się! Pojmujesz ty to, synu mój?!

I wpił w Leona swe oczy czarne, jak puhacz przeszywający ciemności nocne, w których się kształty rzeczy gubią.

A syn wytrzymał owo spojrzenie, stanął na-przeciwno ojca i rzekł:

— Pojmuję, papo, coś powiedział. Ja to tak pojmuję, jak nikt: bo tylko ja jestem kością twych

kości, krwią twojej krwi — ale nie poddam się i nie uczynię tego, czego odemnie żądasz!..

— Nie uczynisz?

— Nie.

— Zatem zginiesz, w nędzy zginiesz, w ohydzie się zaprzepaścisz, do brudów nalewkowskich wrócisz!

— Niech będzie, co chce, ale nie zrobię kroku w stronę Koniecpolskich, nie pozwolę też nigdy na to, żeby ktoś w mem imieniu i na moją korzyść krok ów uczynił!

— Ha, więc niechże się stanie! — krzyknął stary bankier i cisnął skrawek papieru w kąt.

A pan Leon wstał z krzesła i zbliżywszy się do ojca, zaczął mu cicho mówić:

— Słuchaj, ojcze, i zrozum! Ty się na wyższych rzeczach znasz, ale na tem się nie znasz: co to jest uczucie, co to jest pycha. Czy ty sądzisz, że Koniecpolski wydałby teraz swoją córkę za mnie?

— Tak, jestem przekonany o tem, bo on chce wyjść z tego samego przekłętogo koła żydowskiego, z którego myśmy wyszli — już wyszli...

— On na to ma milion innych sposobów — przekładał coraz łagodniej pan Leon — około niego już teraz krąży zdaleka cały tuzin umitrowanych panów, gotowych na każde skinienie jego dłoni....

— Ale ja go mam w ręku i nie puszczę! — przerwał gwałtownie stary Edelberg.

— Wstrętne to jest, ojcze, o czem ty myślisz, wstrętne i nie prowadzące do celu.

— Ja wiem, o czem mówię!

— Nie wiesz, papo, nie wiesz... Ty jesteś mądry, ale nie w tym wypadku. Zresztą..

— Co — zresztą?

— Mnie zastąpi kto inny z rodziny.

— Kto? — Edelberg?

— Nie, Artur!

— Co?!

— A tak. Przypuszczam nawet, żeś ty się tego mógł domyśleć. To na owego najbliższego krewniaka naszego spadnie złoty ptak; to on, a nie ja, lub przyszły mój syn, odziedziczy marzenia dziadowskie, w nim się dynastia odrodzi.

— Dynastia? Szereg hrabiów zbankrutowanych — mruknął ponuro stary Edelberg. — Ja wiedziałem o zabiegach Artura i planach jego ojca. Nie dalej jak wczoraj kochany zięć mój wtrącił w tej materii zręczne słówko. Oni, Sławoborscy, należą wprawdzie do naszej rodziny — ale tyś mi jest bliższy, a ty chcesz zginać marnie.

— Ja, ojczy, chcę pracować.

— Kpiny!

— Nie, ojczy, prawda... Zobaczysz!

Stary nie na razie nie odpowiedział, pocierał drżącą ręką pomarszczone czoło i zdawał się rozmyślać, poczem wstał z fotelu i kładąc dłoń na ramieniu syna, rzekł wolno a dobitnie:

— Ty nie chcesz się ratować... ale ja wszystko zrobię, wbrew twojej woli zrobię — i uratuję cię!

Ty trwać musisz, bo ja chcę, gorąco pragnę trwania rodziny mojej, a Sławoborscy, powtarzam, nie są tą moją rodziną, o której marzę. Przesąd to rasowy, ta gwałtowna chęć przedłużenia domu swego, ale cóż, ponieważ rasowy, więc też silniejszy ponad wszystko! Nalegać już na ciebie nie będę, idź do domu—ja zaraz jutro zacznę regulować twoje interesy...

Twarz pana Leona wypogodziła się, schylił się ojcę do kolan i wzruszonym głosem zawołał:

— Dziękuję!.. Życie zacznę nowe, ale nie tu, w Warszawie, tylko gdzieindziej.

— Ty chcesz jechać?

— Dziś jeszcze.

— Dokąd?

— Albo ja wiem?—Pojadę, dokąd ty, ojcze, zapragniesz... Pojadę spokojny, że za mną się nie powlecze ohyda i wstyd.—Może się jeszcze doczekasz, mój papo, tego wnuka, o którym marzysz, ale moja rzecz w tem, żeby ów wnuk szedł po drodze pewniejszej, niż była droga moja i twoja zarazem. W nim się odrodzi ród nasz z tą uczciwością, którą ja czuję w sobie i której nie stracę—o resztę nie dbam...

— Widzę, że mnie nie rozumiałeś.

— Zrozumiałem, papo—przekładał już zupełnie spokojnie pan Leon—tylko przekonań swych zmienić nie mogę, bo nie mogę.—Jadę dziś jeszcze do Berlina i tam będę czekał na dalsze twoje rozkazy, wskazówki, które mi się przydadzą.

— O, mój synu, mój synu, jakiż zawód mnie spotkał! -- z boleścią najwyższą wyksztusił stary Edelberg i pocałował syna w czoło.

— Nie mówmy już o tem, zapomnijmy! Do widzenia, mój ojcze, jeszcze raz dziękuję: ciężar straszny spadł mi z serca. — Idę do matki... Pójdziemy razem, razem też we trójkę spędzimy ostatni nasz wieczór...

— Ha, trudno! -- rzekł stary bankier i udał się z synem do pokoju żony.

IV.

Dzień kompromisów.

Stary Edelberg siedział przy biurku i przeglądał papiery, których cały stos leżał przed nim. Niektóre odczytywał z wielką uwagą, na inne rzucał tylko okiem i odkładał na bok, a były też i takie, na których robił szczegółowe adnotacye.

Właśnie zabierał się do dłuższego pisania, gdy wtem posłyszał lekkie pukanie do drzwi. Drgnął i wykrztusił z wysiłkiem:— Proszę!

Wszedł lokaj w liberyi i na srebrnej tacy podał bilet wizytowy.

Edelberg spojrział na nazwisko, uśmiechnął się ironicznie, poczem rzekł:

— Poproś.

Jakoż niebawem we drzwiach gabinetu ukazała się niemal kwadratowa postać pana Natana Konięcpolskiego.

Służący drzwi zamknął.

Stary Edelberg spojrział na pana Natana zi-

mnym wzrokiem; jakaś energia wstępowała mu do duszy na widok przeciwnika. Uniósł się nieco z fotelu, na którym siedział — i rzekł, wyciągając rękę:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry panu prezesowi! — zawołał Koniecpolski i upadł całym ciężarem swym na krzesło.

— Pan prezes przy pracy?

— Widzi pan.

— Tak, rozumiem to, ja także w tych godzinach ślęczę nad weksłami w Kredycie.

— Obaj jednakowo pracujemy, panie Koniecpolski—bąknął stary Edelberg i wpatrzył się uważnie w pana Natana, który błędził oczyma po gabinecie, nie wiedząc na razie, jak zacząć rozmowę. Czuł się jakiś zażenowany i niespokojny.

— Czem mogę panu służyć?—Wtrącił Edelberg, chcąc gościowi dodać odwagi.

— Et, panie prezesie, straszne rzeczy, straszne, ohydne rzeczy!

— Cóż znowu?—spytał Edelberg, zdobywając się na ton, ile mógł najswobodniejszy.

— Czytał pan w gazetach, jak sobie kpią z naszej instytucji?

— Czy z instytucji?

Pan Natan poczerwieniał nagle, zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Jakto?!

— No, instytucyi dotychczas nie ruszają, dotychczas, powtarzam, a co będzie potem, nie wiem.

— A ja, jak wyglądam w całej tej sprawie? Edelberg roześmiał się na cały głos:

— Nieszczególnie, panie Natanie, nieszczególnie.

— Nie chcesz mi pan powiedzieć prosto z mostu: głupio.

— No?

— Ale tak!

— Et, bagatela, bagatela...

— To nie bagatela, panie.

— Chciałeś pan przecież awantury?

— Kto, ja?.. To ten dureń, ten nędzarz, ten nicpoń!

— Zapewne — mruknął stary Edelberg i kiwnął głową.

Nastąpiła chwila milczenia.

Konieczpolski zaczął chodzić po gabinecie i zdawał się coś ostatecznego obmyślać; wreszcie stanął przed biurkiem i pochylając się ku Edelbergowi, rzekł:

— Prezesie, pan mi możesz pomóc...

Edelberg skrzywił się nieznacznie i odparł półgłosem:

— Ja? Co ja mogę? Wszak pan wiesz najlepiej, ile mój głos znaczy w Kredycie; nie dalej, jak przedwczoraj, sam-żeś mi pan o tem powiedział.

— No, no...—wyrzucił z siebie Koniecpolski—powiedziałem, ale tak, żeby wogóle coś powiedzieć; ja wiele rzeczy mówię tak sobie... szukając satysfakcji.

— I znalazłeś ją pan?

— Właśnie, że nie! Człowiek się myli, często się myli. Inni się do błędów nie przyznają, ale ja jestem bez przesądów, więc powiem szczerze: czy warto, żebyśmy z sobą walczyli?

Zatrzymał się, odetchnął głęboko i znów jął mówić:

— Czy warto? Niech prezes pomyśli.

— Ja już pomyślałem.

— Nie, nie tak trzeba stawiać kwestję.

— Ja jej wcale nie stawiam; to pan do mnie przychodzisz, a nie ja do pana. Dawałem panu do rąk doskonały interes—nie chciałeś pan...

— A tak, nie chciałem—przerwał Koniecpolski, patrząc na portret Natana Edelberga, który zdawał się dziwnie surowo na niego spoglądać. — Nie chciałem, bo jakże wówczas mogłem chcieć?

— Jakto wówczas? Przecież od dwóch dni nic się nie zmieniło! — zawołał podstępnie stary bankier.

— Mój prezesie — śpiesznie podchwycił Koniecpolski, który czuł w słowach Edelberga nieszczerłość—pan rozumiesz, że czasami jednego dnia dosyć, ażeby Bóg wie, jakie zaszły zmiany. Otóż tym razem miały miejsce te zmiany... Ja muszę

się obecnie inaczej na pański interes, na pańskie Opory patrzeć, ja muszę...

W miarę, jak mówił, niecierpliwość w nim wzrastała. Edelberg stawał się coraz zimniejszy; wysilił się na cały kunszt panowania nad sobą. Układał sobie wolno kombinację, którą chciał zdyskontować, jak weksel długoterminowy. Miał tę przewagę nad swym współzawodnikiem, iż nie pozwolił się unieść namiętności, co się w nim gwałtownie zrywała.

I rzekł znów, podsuwając Koniecpolskiemu pudełko z papierosami:

— Ja nie rozumiem konieczności z pańskiej strony, chciałbym też wyprowadzić pana z błędnego mniemania, iż mnie się konieczność jakakolwiek narzuca. Masz pan rację, od dwóch dni co nieco się zmieniło w naszych wzajemnych pozycjach: ja pana potrzebowałem narazie, a teraz nie potrzebuję.

— Jakto?

— Ano, kredyt, któregoś mi pan nie chciał udzielić, znalazł się.

— Et, co pan prezes?...

— Ale tak, panie, tak! Opory jeszcze nie tak się znów chwieją, jakby się panu zdawać mogło.

— Więc któż zaryzykował?

— Kto? To już moja rzecz.

Koniecpolski spojrzał na mówiącego wzrokiem, w którym odbiła się jednocześnie nieufność i nie-

pewność. Miał taką minę, jaką ma człowiek, który idąc o zmroku szerokim gościńcem, naraz stanął u rozdroża, albowiem gościniec się skończył.

Nie wiedział, co robić i jak dalej mówić. Kręcił się niespokojnie na krześle, poczem wstał i rzekł znów:

— Tu się dzieją dziwne rzeczy.

— Dziwne—mruknął Edelberg.

— Jednakże ja pana potrzebuję.

— Wiem...

— Jakto?

— Ja wszystko wiem.

— Grajmy w otwarte karty.

— Po co gra? Ja panu powiedziałem, jak rzeczy stoją. Ja pana nie potrzebuję, a potrzebo-
wałem dwa dni temu.

Konieczpolski zaczął z niecierpliwości kręcić wąsy, a stary Edelberg gładził sobie siwe bokobrody i czekał. Wyjaśniało mu się stopniowo pomarszczone oblicze; widział wyraźnie, że człowiek, z którym teraz rozmawiał, a na którym mu tak wiele zależało, stał się nieporadnym i przez to czynił się łatwym do wszelkich ustępstw.

— Ja panu powiem otwarcie, z czem przyszedłem—odezwał się Konieczpolski.

— Wiem, z czem pan przyszedłeś; chcesz pan prawdopodobnie, żebym deklarację w obronie pańskiej podpisał i wten sposób zdjął z pana wszelką odpowiedzialność wobec opinii publicznej za skan-

dal, który przedwczoraj wydarzył się w Kredycie Krajowym—czy tak?

— Tak.

— A pan wzamian chciałeś mi ofiarować kredyt, nie wiem do jakiej wysokości—kredyt, którego ja nie potrzebuję. Tak?

— Tak... I co pan na to?

Stary Edelberg zatopił w niego swoje mądre oczy i spytał zimno:

— I nic mi pan nie masz więcej do powiedzenia, mnie osobiście?

Konieczpolski wytrzymał to spojrzenie.

— A gdybym miał?

— To powiedz pan...

— Są sprawy, które przechodzą kompetencję finansistów... Pan wie, ja jestem nie tylko Nataniem Konieczpolskim, posiadaczem trzech czwartych akcji Kredytu Krajowego, współwłaścicielem pięknych fabryk; ja jestem nie tylko człowiekiem publicznym...

— Rozumiem.

— Mnie się pański wnuk Sławoborski podoba; zresztą, nie o mnie tu chodzi; on się mojej żonie, zwłaszcza zaś mojej córce podoba... On był u nas, no i coś dziwnego, że kobiety wziął za serce. Ja także z nim rozmawiałem, widzę spryt w jego głowie, spryt niepowszedni; z niego będzie człowiek; niech on się tylko w moje ręce dostanie

to jemu źle być nie może. Otóż, panie prezesie, ja do pana mówię w tej chwili inaczej, niż się mówić zwykło przy interesach, na których się jednako-
kowo znamy—ja i pan. Mnie osobiście nawet nie chodzi o pański podpis na deklaracyi zbiorowej, którą gotową przyniosłem do podcyfrowania. Ja jestem jeszcze Żyd, a czegoż się na Żydów nie mówi?... Ostatecznie nie przeraziłby mnie wrzask w gazetach: popisałiby, pogadali — i na temby się skończyło. Zapomnieliby wszyscy o skandalu, Kredyt Krajowy dyskontowałby sobie w dalszym ciągu weksle, a jabym w jego imieniu zgarniał zyski piękne. Powiem panu więcej, znalazłby się i dla mojej córki taki pan hrabia, których cały tuzin kręci się po Warszawie i miałbym zięcia do wyboru. Do pana nie przyszedłbym sam osobiście, przysłałbym kogośkolwiek ze swoich z propozycją do przyjęcia lub do odrzucenia... ale tu jest co innego. Wnuk pański córce mojej wpadł w oko, ja jej tego wyper-swadować nie umiem, żeby ona sobie dała spokój. To sprawa sercowa — ja się też na tem znam, gdyż swoją żonę kocham, tak kocham, jak wszystkie interesy razem.

— Ha, ha, ha!... — zaśmiał się stary Edelberg.—Panna Róża niezły ma gust!

— Więc?

— Albo ja wiem, przecież w skórze młodego nie siedzę.

— Jakież pan Artur ma zamiary?

— Pójdzie za głosem serca, myślę — odrzekł

stary Edelberg — bo i jemu panna Róża wpadła w oko.

— Wiedziałem o tem, bo ta moja Różia... zresztą, co tu długo mówić; trzeba tę sprawę załatwić odrazu.

— Jak tu takie sprawy załatwiać odrazu? — wtrącił stary Edelberg. — To nie interes, nie weksel. Ja plenipotencyi od wnuka i jego rodziców nie mam. Mnie się wydaje, że z tem się śpieszyć niema co; niech się młodzi lepiej poznają.

— Oni się już poznali — przerwał Koniecpolski — ja wiem o tem. Artur do nas od dość dawna zaglądał... Uważa pan, panie prezesie, mnie chodzi o to, ażeby rodziny swej nie narażać na różne rzeczy nieprzewidziane, bo to i ludzie o tem mówią — ja nie życzyłbym sobie za nic na świecie stać w fałszywym położeniu. Taki skandal bankowy zgryzłbym nie jeden — to rzecz zwyczajna, ale takiego domowego przełknąć nie potrafiłbym — rozumie pan?

Edelberg wstał, podszedł do krzesła, na którym siedział pan Natan, i rzekł:

— Co do mnie, wierz mi pan, kochany panie Koniecpolski, robię wszystko, ażeby małżeństwo to doprowadzić do skutku. Mnie ono jest po myśli choćby z tego tytułu, że *my* razem iść powinniśmy... Rozbici, niczego nie dokonamy — złączonych, nie i nikt nie pokona.

— Tak, rozumnie i przekonywająco pan mówi.

— Bądź pan spokojny, wszystko się zrobi; te tam jakieś uboczne względy są do usunięcia. Moja rzecz w tem... Tymczasem ja poznałem dziś w panu innego człowieka, człowieka z sercem, nie tylko z rozumem.

— Ja takim jestem, mnie trzeba znać — potwierdził pan Natan nieco na swój sposób rozrzuwniony i uściśnął mocno dłoń starego bankiera. Poczem rzekł znów:

— Mój prezesie, ponieważ wkrótce będziemy stanowić jedną rodzinę, więc ja pragnąbym, żeby pan mnie uważał za swojego przyjaciela. Ja nie wiem, nie chcę wiedzieć, kto panu otwiera kredyt na interes Oporów...

Edelberg z zapartym oddechem słuchał, a Koniecpolski tak ciągnął dalej:

— Mnie byłoby bardzo przyjemnie, gdyby pan zamienił tamten kredyt na nasz kredyt... Do wysokości pół miliona może pan czerpać z naszych kas w sposób, jaki pan uzna za stosowne. Wiem przecież, że to pójdzie na wspólny interes familijny.

— Jak pan chce—odparł śpiesznie Edelberg, zdobywając się na bezinteresowność pozorną.

— Te pół miliona pójdzie na rachunek mojej córki, przyszłej pani Sławoborskiej. A co pan na to?

— Doskonale, niech będzie i tak.

— Ja się już rozpatrzyłem w interesach Oporów... Teraz żelazo nie idzie, ale mam nadzieję, iż

wkrótce pójdzie. Dostarczę panom nawet obstalków, o które zresztą, pan wie, jak jest trudno w naszych czasach.

— No?

— Et, panie prezesie, ja wiem—z uśmiechem zauważył Koniecpolski i machnął ręką.

Następnie wyciągnął z kieszeni arkusz papieru, a podając go Edelbergowi, dodał:

— Oto deklaracya członków rady, wszyscy tu są, nawet zięć pański; brakuje jednego tylko najważniejszego podpisu.

— Dawaj pan! — zawołał Edelberg i rzuciwszy okiem na arkusz, podpisał.

Koniecpolski deklaracyę schował i ściskając rękę staremu bankierowi, mówił:

— Dziękuję!... Kredyt ma pan otwarty... Liczę na pana...

— Bądź pan spokojny.

— W sobotę u mnie wieczór, może pan będzie łaskaw razem z żoną i synem.

— Z przyjemnością—zakończył Edelberg, wyprowadzając gościa za próg gabinetu.

Został sam. Stał wprost drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Koniecpolski, a założywszy ręce na wątych zapadniętych piersiach, skrzywił się ironicznie — poczem kiwnął parę razy głową i rzekł głośno:

— Głupi!..

W tym wykrzykniku zawarł się cały nastrój

jego duszy, zmagającej się przez ciąg życia długi z coraz nadbiegającymi zewsząd sprzecznościami.

Tryumfował, bo wybrnięcie z kłopotów groźnych jeszcze przed paru dniami, kiedy to naraz miał do ocalenia syna własnego i fortunę, na której opierał swoją i rodziny swej przyszłość, mógł nazwać prawdziwym tryumfem.

I uczyniło mu się raźniej; zmysł kombinacyjny pod wpływem chwilowego powodzenia wracał ze zdwojonym zasobem energii.

Zadzwoił. Wszedł lokaj i stanął we drzwiach.

— Jaśnie pan każe?.. — pytał.

— Poproś pana Wermana.

Werman był szefem biura przybocznego Edelbergów. Człowiek już stary, w rodzinie chlebobawców zasłużony. Znał wszystkie tajemnice domu Edelbergów i często umiał doskonale poradzić, zwłaszcza w sprawach wymagających delikatniejszej ręki.

Gdy się ukazał w gabinecie, Edelberg już zupełnie uspokojony siedział przy biurku.

Uklonił się i zdjawszy okulary, zaczął je przecierać. Stary Edelberg wskazał mu krzesło, to samo, na którym przed chwilą siedział Koniecpolski.

— No, i jak tam? — spytał.

— Źle, ciągle źle.

— Czy wykaz długów pana Leona dokładny, całkowity?

— Niby tak. Właśnie przed chwilą zjawili się ostatni wierzyciele, jacyś wekslarze drobni z różnemi pretensyami.

— Pan Leon wyjechał za granicę!

Werman rzucił pytające spojrzenie na mówiącego. Chciał ze wzroku starego finansisty wyczytać, jak ma sobie ów wyjazd komentować, ale nie nie wyczytał: Edelberg pozostał zimny, nieprzenikniony.

— Leon wyjechał — powtórzył Edelberg — na pewien czas, nie na zawsze... Sam mu poradziłem.

— No, rozumi się, pan prezes miał rację. Jeżeli się co da zrobić, to i bez pana Leona zrobimy.

Mówiąc to, poprawił na sobie okulary i chrząknął.

— Co my możemy więcej zrobić, jak spłacić jego długi.

— A czem? W kasie mamy tak jakby nic.

— Więc to, co mamy, może wystarczy na załatanie najpilniejszych dziur.

— Może.. W każdym razie z trudnością.

— Słuchaj pan, panie Werman! — Stary Edelberg zamyślił się na moment, poczem jał dalej mówić: — Dziś albo jutro wierzyciele prawdopodobnie zajmą rzeczy pana Leona. — No, niech zajmują! Nawet nie będziemy nikogo podstawiali, żeby je zakupić na licytacji: mój, nasz Edelbergów honor, honor kupiecki, nie pozwala na podobę świństwa sy-

mulacyjne. Następnie pan wejdiesz w układy z wierzycielami Leona i będziesz się starał skłonić ich do ustępstw, a skłonni będą, ponieważ coś wycofać w ten kompromisowy sposób zdołają. Dokończyć tych operacji, o ile można, bez krzyków — spokojnie, cicho. Hrabiów Mylskich uregulować w całości, zarówno jak Jodłowicza.

— Dobrze, dobrze, panie prezesie, ale...

— Pieniądze mamy: Kredyt Krajowy zdyskontuje obecnie każdy nasz weksel.

— A, a!..—wydarł się okrzyk podziwu z ust starego Wermana. — To tak?

— Tak, panie... Jeszcze jedno: długi Leona reguluje pan sam w jego imieniu, nie w mojem, ani też w imieniu naszej firmy. Więc postaraj się pan uformować nowy, oddzielny rachunek, to jest zwyczajne konto pana Leona. Ja niby o niczem nie wiem, więc też proszę do mnie nikogo, ale to literalnie nikogo z pretensjami nie wpuszczać. — Oto jest plenipotencya pana Leona, a oto są weksle do zdyskontowania.

To mówiąc, podał nie mogącemu wyjść z podziwu Wermanowi arkusz papieru i kilka podpisanych weksli.

— Ja panu to do rąk oddaję i myślę, że wyznaczonym na ten cel funduszem oczyścimy jeszcze raz naszego jedynaka.

To „raz jeszcze” Edelberg podkreślił dobitnie w mowie. Poczem wstał, Werman również się

podniósł z miejsca — i znowu skłoniwszy się przed swym szefem, wyszedł z gabinetu.

Po śniadaniu stary bankier pojechał do córki.

Całe towarzystwo zastał jeszcze przy czarnej kawie.

Hrabina miała minę obrażonej królowy; do nikogo nie mówiła ani słowa, z ojcem się przywitała w milczeniu. Hrabia palił papierosa i także milczał; Artur był zasepiony, dostrajając się w ten sposób do tonu rodziców. Zato Julia kręciła się na krześle, raz po raz zagadywała to do ojca, to do brata, jednakże bez skutku — zamiast odpowiedzi słyszała mruczenie jakiegoś, więc się zwracała do swej nauczycielki, ale ta także dla jakichś powodów mówić nie chciała.

— Cóż wy tak milczycie wszyscy? — spytał stary Edelberg, szczypiąc Artura w policzek.

— Dziadzio myśli — wyszczebiotała Julia — że to dopiero teraz zaczęły się te rekolekcyje?

— Julia, proszę być cicho! — syknęła matka.

— Julia! — powtórzył groźnie hrabia.

— Dałabyś pokój, Julia! — wtrącił Artur, zdobywając się na minę, ile mógł, najpoważniejszą.

Dziewczynę owo strofowanie z trzech stron nie zdetonowało: przegięła się ku dziadkowi i kładąc mu rękę na plecach, snuła półgłosem:

— To, dziadziu, tak u nas; i nie od dzisiaj! lecz od paru dni...

Lokaje wyszli z pokoju. Rodzina została sama.

— Moi drodzy, cóż wam się stało? Grom spadł z jasnego nieba, czy co? — Wyksztusił stary Edelberg.

Na to hrabina roześmiała się ironicznie i rzekła:

— A grom!

— No, co takiego?

— Pięknych rzeczy się dowiedziałam temi dniami o Arturze...

Artur niespokojnie poruszył się na krześle, ale nic nie odpowiedział — czekał.

— Cóżeś ty spsocił nowego, figlarzu? — zwrócił się doń dziadek z uśmiechem.

— Ja? — obruszył się Artur — Nic nie spsociłem: nikogo nie okradłem, nie zabiłem, nic nie sfałszowałem, oto, siedzę sobie spokojnie w Warszawie — i na tem koniec.

— Otóż, ja nie chcę, żebyś ty sobie spokojnie siedział w Warszawie — przerwała matka i wstała od stołu.

Za nią podniosło się całe towarzystwo i przeszło do salonu.

— Ja nie chcę, żebyś ty tu siedział! — powtórzyła Sławoborska.

— Daj mu pokój, Klementyno! — przekładał Edelberg.

— On musi jechać do Lipska, chodzić do uniwersytetu, jak inni chodzą, a nie tu się włóczyć, Bóg wie gdzie...

— Gdzież to on się włóczy? — wtrącił hrabia i przybrał wyzywającą minę.

— Ty już wiesz!

— Radbym jeszcze raz wiedzieć!

— Ja ci mówiłam — zawołała hrabina — że nie życzę sobie, aby Artur włóczył się po tych różnych żydach.

— Oj, mamó, mamó...

— Mama ma rację — piszczała Julia i usuwała się jednocześnie w kąt z obawy przed ojcem, który parę kroków postąpił za nią.

— Już ty, Klementyno, z żydami nie wyjeżdżaj — syknął stary Edelberg.

Zamiast odpowiedzi hrabina zbliżyła się do stojącego przy fortepianie Artura i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła:

— Dość mam tych Koniecpolskich. Ty mi tam nie chodź! Wstyd, co ludzie gadają, cała Warszawa się śmieje.

— Ci ludzie, co się śmieją, są stworzeni na to, żeby się z nich śmiano — flegmatycznie zaopiniował stary Edelberg i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

— Artur, mój ojciec, przedewszystkiem odemnie zależy: ja myślę o jego losie, ja dbam o jego honor.

— A ja, mamó, zwalniam cię od tej opieki; mam dosyć tego — dzieckiem nie jestem! — zawołał Artur, zaskoczony sam dziwną energią, która w niego wstępować poczyniała.

— Cóż to znowu?

— Powiedziałem...

— Żeś głupi, bo głupota przez ciebie przemówiła.

— Trochę jestem mądrzejszy od innych—zauważył ironicznie Artur.

— To taka wdzięczność za moje starania, za moją pieczołowitość?

— Moja mamó, moja mamó, mówmy rozsądnie.

— Ja rozsądnie mówię: nie chcę, żebyś był pośmiewiskiem całej Warszawy, ot co! Hrabia Sławoborski wyciera kąty u tych, którzy czyhają na naszą zgubę, u tych plugawych, wstrętnych, obrzydliwych—tak, plugawych, wstrętnych, obrzydliwych żydów! Ty sobie tą Rózią głowy nie zaprzataj, nie myśl o tej śledziarce, która powinna sprzedawać pomarańcze za Żelazną Bramą. Co ty sobie myślisz, co sobie ty myślisz?!

— Klementyno, uspokój się—przekładał stary Edelberg, bo gwałtowny wybuch córki zaczynał go niecierpliwić.

Postanowił ratować sytuację i nie doprowadzać rzeczy do ostateczności.

Artur był blady, jak płótno; od czasu do czasu rzucał spojrzenia ironiczne w stronę matki, z nienawiścią spoglądającą na męża, który stał przy oknie i wybijał palcami po szybie jakieś zrywane taktory niepochwytnej dla ucha melodyi.

— Uspokój się, Klementyno—powtórzył stary bankier—i posłuchaj, co ja ci powiem.

— Z góry wiem, co mi ojciec powie; pewnie znów usłyszę panegiryk na cześć dostojnych naszych przodków?

— Nie, w tej chwili mam co innego na myśli, chociaż warto, żebyś o naszych przodkach także nie zapominała, zwłaszcza, że nie wygładzisz ich z pamięci własnej i cudzej.

— A tak, pójdą oni za mną... -- rzekła hrabina z przekąsem. — Wiem o tem, ale niechby się na mnie ta genealogia skończyła, tymczasem widzę, że może się nie skończyć, skoro Artur dziedzictwem zbiorowej duszy swych dziadków i pradziadków obdarzony został. Myślałam, że się wyrodzi, pracowałam nad tem—i napróżno!

— To wszystko, co mówisz, ma tylko pozór prawdy, to jest poezya, a rzeczywistość w zupełnie innem przedstawia się świetle—rzekł z powagą ojciec.—Rzeczywistość jest inna, niż twoje marzenie; staje przed nami w przeróżnych kształtach, o których nam się nawet nie śniło. Oto np., ten Koniępcowski nie jest już naszym wrogiem.

— A przyjacielem może?

— Tak, przyjacielem—potwierdził z naciskiem bankier—mam na to najrzetelniejsze dowody.

— Coś nowego?

— Stare, jak świat. Widzisz, on nas w tej chwili potrzebuje, a wydaje mu się, że my go wcale nie potrzebujemy. Tymczasem sytuacja nasza ani na jotę się nie poprawiła—jesteśmy na samym

brzegu ruiny. Opory ledwie dyszą — słyszałaś o tem — należy w nie wpakować masę pieniędzy, żeby istnieć nadal mogły. Przytem trzeba jakkolwiek uregulować interesy Leona — a zkąd tu wziąć, zkąd, powiedz?

— O Leonie słyszał już ojciec moją opinię — spieszenie wyrzuciła z siebie Sławoborska — on sam siebie wtrącił w przepaść, ja za nim iść nie myślę, nie myślę go ratować. Niech sobie robi, co mu się podoba...

— Ty go, moja córko, nie myślisz ratować — podniósł głos ojciec, którym wzburzenie władać poczynęło — ale ja go już uratowałem!

— Jako? — powtórzyli jednocześnie mąż i żona.

Artur z ciekawością spoglądał na dziadka i krzywił się, znać było po nim, że podzielał przykre zdziwienie rodziców.

— A tak, płacę jego długi.

— A on?

— Jego już niema, wczoraj go wyprawilem za granicę.

— Więc na Opory brak pieniędzy — krzyknęła hrabina — a na podróż zagraniczną tego nicponia i na jego długi są?!

— Na Opory także mam potrzebne i niezbędne sumy, dostarczył ich Koniecpolski!

— Co?!

— Tak, ten sam Koniecpolski, który, gdyby był mniej próżny, aniżeli jest, gdyby się w sentymenty rodzinne nie bawił, a szedł drogą przez ojca

swego wskazaną, toby i Opory bez wysiłku za psie pieniądze kupił i pałac twój pyszny na mieszkanie dla siebie przeznaczył. Ale on, fatalizmem pociągnięty, wyszedł z właściwej sobie kolei życia i zgłupiał, my zaś z jego głupoty korzystamy.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Sławoborska i, stając przed ojcem, zawołała:

— Wykierowaliście nas, pięknie będziemy teraz wyglądali!

— Waryatka — syknął Sławoborski i rozpoczął na nowo bębnić po szybie.

— Użyliście do tego podstępnie Artura! — wołała z wzrastającą wściekłością hrabina.

Artur, słysząc to, zbliżył się do matki i rzekł z flegmą:

— Mamo, mamó, tylko bez komedyj.

— I ty śmiesz?...

— Śmiem, bo tu o mnie chodzi. Ty mnie za mało znasz, moja mamó, żebyś sądzić mogła o tem, czy i jak mnie kto użyć potrafi, ja także mam swoje indywidualne poglądy na pewne sprawy. Widząc, co się tu u nas w domu dzieje, zdając sobie dokładnie sprawę z urywanych, a powtarzających się coraz częściej refleksyj waszych, przyszedłem do wniosku..

— Jakiego? — przerwała matka, ochłonawszy nieco pod wpływem spokojnej, a zimnej mowy syna.

— Przyszedłem do wniosku, że niema dla mnie interesu czekać, aż mnie razem z wami bu-

rzą, zmiecie i wycofa z kursu. Tobie się, mammo, różne rzeczy zdają, a mnie się nic nie zdaje, ja patrzę na świat nie przez okulary iluzji twoich, a oryentuję się przy pomocy własnych zmysłów i chcę sobie zapewnić byt.

Mówiąc to spojrział wyzywająco na matkę.

— Ja nie myślę usunąć się ze świata, zanim lata moje wydzwonią kres memu życiu. Nie rozumiem zaś życia w szamotaniu się z widmem biedy i złoconej nędzy; ratuję się póki czas, wy zaś możecie się przy mnie uratować.

Sławoborski z zadowoleniem patrzył na syna, radby mu był przyklasnąć, gdyby się nie bał żony.

— Więc chodzę do Koniecpolskich, więc udaję, że nic nie wiem o waszych interesach, więc bawiąc się, nie spuszczam z widoku głównego celu, a celem tym jest unormowanie sobie życia, wyjście z głupiego położenia próżnej wściekłości i psującego krew zdenerwowania. Zresztą — dodał po chwili — co tu długo mówić, mnie się panna Koniecpolska podoba, tembardziej, że uśmiecha mi się złota oprawa jej przyrodzonych wdzięków.

— Toś ty przedemną ukrywał?

— Ukrywałem, bo ty, mammo, jesteś gwałtowna, bo ty myślisz tylko o sobie, chociaż ci się zdaje, że myślisz o mnie.

— Pokrewieństwo z żydami!

— No, no, no! — zdobył się na wykrzyknik Sławoborski, zabierając się do gorącego poparcia syna.

— Przypomnę ci, że nam nie wypada wyjeżdżać z żydami—syknął stary Edelberg i wstał.

— Nie wypada, nie wypada!... A kto odepnie systematycznie usuwał wszystko co żydowskie, kto mnie uczył od samego dzieciństwa, mnie i Leona, pogardzać tem przekłętym plemieniem, kto mnie poił marzeniem innego świata, kto mi kazał zapomnieć o naturze własnej, kto?!

Słowa hrabiny brzmiały groźnie, jak toczące się po złomach granitowych skał fale rozpętaných wód.

Nastąpiła cisza nagła, trwająca atoli chwilę tylko.

Stary Edelberg wstał z fotelu i rzekł prawie szeptem:

— Ja i żona moja... Myśmy to czynili, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynimy. Było to źle, bardzo źle; błąd nasz na nas się w słowach twych pomścił. Nie poruszaj tej kwestyi, bo mnie zabijasz! Ja potrzebuję u schyłku swoich dni spokoju. Wczoraj z temi samemi pytaniami i wyrzutami Leon wystąpił, ale on mnie zrozumiał, bo on lepszy od ciebie, pomimo wszystkiego lepszy... Przeżyłem wczoraj strasznych chwil kilka, długich jak wieki—i mam dosyć... Poplątały się, pogmatwały złudzenia nasze, straciliśmy to, co było naszą siłą, a nie zdobyliśmy tego innego świata, który zarówno mnie, jak i ciebie nęcił. Popsuło się wszystko, zrozum to i zapamiętaj sobie... Artur

ma rację, że zawraca z drogi, gdzie mieliśmy znaleźć szczęście, a znaleźliśmy karykaturę i pozór szczęścia...

Sławoborski, widząc na jakie tory schodzi rozmowa pomiędzy teściem, synem i żoną, wziął Julę za rękę i wyniósł się bocznymi drzwiami z salonu. Uczynił to także dlatego, bo pomimo wszystko, nie rad zwykle słuchał wynurzeń plemiennych w swej własnej rodzinie. Wolał być widzem obojętnym, aniżeli aktorem czynnym tych familijnych dramatów. Niesmakiem go przejmował brak subtelności w żonie, która nie chciała utrzymać pewnych materij w zawieszeniu, w stanie nie pozwalającym na zupełne uświadomienie... Czuł się niejako obrażony, że to przy nim się te zachwiania rasowe zrywały.

— Niech myślą, co chcą — powtarzał sobie w duszy—ale niech nie mówią.

— Zapóźno, papo, zapóźno chcesz, bym się zmieniła—powtarzała Sławoborska, przybita słowami ojca.—Tak pragnęłam zapomnieć o tem, żem żydówka, a ty mi to, mój ojcie, przypominasz? Chciałam w tej roli nowej, rasie naszej nieodpowiedniej, żyć do końca; łudzac siebie—łudzić innych; a tymczasem nie udało mi się, bo się nie udało.

— Nie bierz tych rzeczy tak znów tragicznie—wtrącił ojciec, któremu się żal córki zrobiło, bo widział na twarzy jej ogromne znużenie. — To, co się tu mówi, mówi się w tajemnicy; te ściany nie powiedzą —jesteśmy sami. Świat zawsze będzie

patrzył na nas po dawnemu; ludzie są naiwni, ludzie są głupi, ich to wszystko, te rozdzźwięki nasze, nic nie obchodzą. Sądzą z pozorów i pozorami się zadawalniają. Ty chcesz pozoru, więc go mieć będziesz. Nikt ci się nie ośmieli przed oknami twojego pałacu wyśpiewywać serenad żydowskich. Złośliwość ma także swoje granice, wyczerpuje się: to co mieli o nas powiedzieć ci inni, ci co z nami niaby żyją serdecznie, już powiedzieli, już się z nas wyśmieli...

Hrabina zakryła twarz rękami i tak przybita słuchała słów ojca.

A gdy ten skończył, spojrzała z niewypowiedzianym żalem na syna; w oczach jej czarnych, błyszczących, perliły się łzy, i rzekła półgłosem:

— Biednyś ty, mój Arturze!

Zalała się łzami.

— Rób, co chcesz — mówiła dalej płacząc — dla mnie się życie skończyło, jestem wyczerpana... Walczyłam, i na nic. Widzę dopiero teraz, jak srodze się myliłam.

— Mamo!

— Więc ty musisz się ożenić z córką Konięcpolskiego?

Artur widząc, że matka już złagodniała, postąpił ku niej, i całując ją po rękach, jął mówić:

— Mamo, ja wiem, jak ty mnie kochasz.

— Ach, ty nawet tego nie wiesz — odrzekła hrabina — ty nie wiesz, jakie ja nadzieje w tobie

pokładałam; czem ty byłeś dla mnie, szczególnie dla mnie: ty byłeś odnowieniem mojego życia, zwrotnym punktem myśli i uczuć moich. Zmieniłam się dla ciebie i w tej zmianie trwać chciałam, a tu tymczasem...

Stary Edelberg wyszedł. Została tylko matka z synem w tym ogromnym salonie, w którym, zaczynając od starych gobelinów, wiszących na ścianach, a kończąc na etażerze do nut, wszystko było utrzymane w stylu i we właściwym tonie. Sławoborska miała szczególną zdolność naśladowania tego, co stanowi zewnętrzną stronę arystokracji. Przyśwajała sobie pozór, układ, manierę tego świata konającego pod olbrzymią mitrą próżności, który kochała, z którym się żyła przez długie lata obcowania – ale daremne były jej wysiłki, by przyswoić sobie jego duszę, jego zbutwiałą treść. Zdradzała się tem mianowicie, o co jej przeważnie chodziło, zbytnią uwagą na siebie; czuć było w jej postępowaniu z osobami z towarzystwa ową nienaturalność, pochodzącą ze stosowania ciągłego poczynionych obserwacyj do własnego życia. Mówiono też o niej w salonach, że była jedną, jedyną istotą, która rolę hrabiny w stylu XVIII wieku najlepiej graćby mogła, gdyby... Tu złośliwi dodawali, gdyby nie łudzące podobieństwo do przeciętnej ładnej żydówki z przedmieścia

Istotnie, hrabina Sławoborska od pierwszego występu swego w świecie grała rolę wielkiej damy, przywykła do tego i było jej z tem nawet dobrze.

Ztąd też każde wytrącenie z tego ustawicznego udawania stawało się dla niej męką. Ale te zachwiania się duszy, te zrywania się do refleksyj, do porachunku z sobą samą były rzadkie, mijały, jak przykre sny. W tej atoli chwili miała do przeobrażenia w duszy całą seryę zapomnianych wrażeń, miała przed sobą życie samo, zawracające ku niej w swej nagiej rzeczywistości. I nie umiała sobie z tem radzić, cierpiała też bardzo i prawdziwie.

Syn całował ją po rękach, a ona płakała, niemocna, złamana.

— Mamo, mamo!... — powtarzał.

— Więc to jest prawda, że ty zamierzasz żenić się z tą...

— Pomyśl mamo, co mam robić? Wiesz przecież, że pracować nie umiem i nie będę umiał; wiesz, że się wychowałem na pana, a tu tymczasem widzę, że to moje wielkopaństwo łamie się za lat mych młodych.

— I ty wejdiesz w tę rodzinę, która ci życie zatruje swem parweniuszowstwem?

— No, a co mam robić, co? Powiedz! Te moje studia uniwersyteckie, to błaga, która może mi się przydać do imponowania ludziom w salonowych gawędach, i na tem koniec. Ja nie mam w sobie, nie czuję w sobie tego czegoś, co by mnie wyniosło ponad przeciętność i parło ku jakiejś świetnej karierze. Chcesz, żebym zginał? Chcesz?!

— Ach, to okropne! — wyrwało się z zaciśniętych ust Sławoborskiej.

— Nie tak okropne, jak się mamie wydaje — szepnął Artur.

— Śmiech ludzki...

— Zazdrość, nie śmiech—odparł z przekonaniem młody człowiek.—Wierz mi, mamó! Zresztą, czy ty o tem nie wiesz, gdyby Koniecpolski chciał, miałby na zawołanie cały tuzin lepszych hrabiów odemnie. Ja ci powiem, mamó, że mnie uważają za szczęśliwego.

— Ładne szczęście — wtrąciła ironicznie matka, ocierając łzy z oczu.

— No, a co, nie ładne? Naprzód ta dziewczyna jest naprawdę piękna, dobrze wychowana, o co zresztą najmniejsza: wychowania jej dopełnię sam; kocha się we mnie—a po za tem Koniecpolski podeprze nasze Opory.

— Rób, jak chcesz, rób, jak chcesz, ja ci tylko powiadam, że złowrogi los zadrwił z nas... Ach, gdybyś ty wiedział, co się zemną dzieje na samą myśl, że będę musiała wejść znowu w tę sferę ludzi, z której wypłynęli na szerszy świat Edelbergowie?

— Ja się ożenię z panną Koniecpolską, a nie z całą jej rodziną.

— Marzenie, bo nie ty się tylko ożenisz, to my wszyscy się żenimy, to rodziny się żenią. I w dodatku, co o tym Koniecpolskim mówią, co piszą? Myślałeś ty o tem?

Artur zbladł nagle i odrzekł porywczo:

— O kim nie mówią? A o naszym wujaszku co mówią? Jak z niego się śmieją? Przecież te konkury jego w domu Lackich są ciągłym tematem rozmów tej niby naszej sfery...

— To inna rzecz, zupełnie inna — przerwała matka.—Leon jest głupiec...

— A ja nim nie jestem? Koniecpolski ma skandal, który wydaje mu się większym, niż jest w rzeczywistości. Jeżeli chodzi o uspokojenie opinii, to ją uspokoją; jestem pewny, że dziadzio da sobie radę z owym fantem.

Hrabina milczała, w duszy przyznając synowi rację.

— Powiedziałam ci już wszystko, co mi leżało na sercu; tłumacz się, jak chcesz, ja nie przestanę uważać kroku, jaki czynisz, za nieszczęście, gorsze od wszelkiego innego nieszczęścia. Ty zawracasz życie rodziny naszej na opuszczony, brudny gościniec ohydy żydowskiej.

Wstała, poprawiła sobie włosy i, przystąpiwszy do Artura, dodała:

— Ja o wszystkim tem, co się stanie, wiedzieć nie chcę; za wiele mnie to kosztuje. Pamiętaj, że się opieram i tylko znaglona przez ciebie, ustępuję. Nie usłyszysz nigdy przyzwolenia, wyszłego z ust moich, będę żyła swoim własnem życiem, t. j. tak, jak od lat przywykłam. Nie mogę, nie chcę inaczej żyć: przyzwyczajenie stało się naturą moją.

— Moja mamó, moja mamó — szeptem przekładał Artur — ja ci i zato dziękuję; przystosuję się do twojej bierności, chociaż, wierz mi, jabym tak potrzebował ułatwienia z twej strony.

— Ułatwienia? Ja przecież nie myślę nawet iść do nich, do tych ludzi... Na pewien czas usunę ci się z terenu, będziesz... będziecie wolniejsi...

Artur się zmieszał, zaczął przestępować z nogi na nogę, wreszcie objął matkę za szyję i rzekł:

— Mamó, czyżbyś ty mogła uczynić mi przykrość?

Matka rzuciła na niego pytające spojrzenie.

— Jakże to tak chcesz się usunąć od wszystkiego? Czyż nie domyślasz się, mamó, ile mi zależy na tem, żeby choć pozór był zachowany?

— Ja sobie wyjadę za granicę, niby chora, zabiorę Julę z sobą, a ty tu zostaniesz z ojcem i dziadkiem, oni potrafią dostroić się do tonu, jaki tam będzie panował.

— Ale kiedy Koniecpolskim chodzi głównie o ciebie! — zawołał Artur. — Tyś dla nich taka niedostępna... Oni chcą mieć tę satysfakcję, iż cię u siebie zobaczą.

— Nigdy!

— Zatem ja wątpię, czy moje konkury na cokolwiek się przydadzą.

— Przecież nie ze mną ślub będą brali; panna wychodzi za ciebie.

— Zrozum to, mamó, o co ja cię proszę: twoja nieobecność będzie dla tych ludzi impertynencyą!

— A, z jaką rozkoszą jabym im zrobiła afront—zawołała Sławoborska, i oczy jej złowrogo zabłyśły.

— To potem, potem, po ślubie... Zrobisz, co ci się będzie podobało, a wiem, że dla mnie potrafisz się miarkować, bo mnie kochasz, za bardzo kochasz, byś się nie zmogła, lecz przed ślubem ja proszę o pozory, o zimne, nikłe pozory.

— Więc żądasz ofiary?

— Tak, niech będzie tak, jak mówisz, proszę, błagam!..-

— Dobrze, będę u nich.

— Mamo, dziękuję! Nigdy ci tego nie zapomnę, co dla mnie uczynisz...

I chciał matkę pocałować w rękę, lecz ona cofnęła się i nie mówiąc, blada, chmurna wyszła z salonu, zamykając drzwi za sobą.

Artur odetchnął, podniósł ręce do góry, ziewnął parę razy, i z ust mu wybiegł szept:

— Skończył się pierwszy akt komedyi!

I potoczył wzrokiem tryumfatora po naprawdę starych i naprawdę oryginalnych gobelinach, którymi były zawieszone ściany salonu.

Czyniło mu się lżej na duszy, miał przed sobą drogę swobodną, przeszkody usunięte, teren do dalszych operacyj wyrównany. Spodziewał się sceny daleko dramatyczniejszej, aniżeli ta, w której dopiero co odegrał wykombinowaną zawczasu rolę.

Ziewnął nie ze znudzenia lub z potrzeby ziew-

wnięcia, lecz poprostu, żeby narzucić sobie na twarz wyraz obojętny. A czuł jakby płomienie, ślizgające mu się po wypukłościach policzków pełnych.

Staął przed lustrem i zauważył, że był czerwony, jak rak. Więc wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przetarł sobie czoło. Był zdenerwowany.

— Wejdiesz znów w ten świat żydowski, zawrócisz znów do tej cuchnącej sfery, z której wyszedł twój dziadek, twój pradziadek, wielki Edelberg! — dźwięczało mu w uszach, i doświadczał nieokreślonych podmuchów wstydu.

Skrzywił się. Próbował w sobie ten głos wewnętrzny przygłuszyć nieszczerą trzeźwością:

— Sentymentalizm głupi... próżność idyotyczna... Co ja sobie mam tem głowę zaprzętać? — myślał.

Czerwone plamy zaczynały mu schodzić z twarzy, rozsiadła się na niej zaciętość, drgająca w kątach nieco przygrubych ust.

Naraz drzwi się cicho otworzyły. Do salonu wsunęła się, jak cień, Jula. Palec położyła na ustach i posuwała się ku bratu. Kiedy już stanęła przed nim, załamała ręce i zrobiła minę tragiczną:

— Artur — rzekła szeptem — Artur, coś ty zrobił?

— A co?

— Ja wszystko słyszałam z oranżeryi; wiem, o czem mówiłeś do mamy.

— Co tobie do tego, co tobie do tego? — za-

perzył się brat. — Tyle razy ci powtarzałem, żebyś nie podsłuchiwała, a ty niezdolna...

— Tak, powtarzałeś, powtarzałeś—odcięła się dziewczyna—a kto mnie się pytał tyle razy, o czym mama z papą mówiła, co wujaszek Opelski bąbał?..

— To było wówczas... niegdyś, ale teraz? Zresztą, co tobie do tego; nie wtrącaj swojego nosa...

— Ja nie chcę, żebyś się ty z tą żydówką żenił, rozumiesz, ja nie chcę!—zasyczała Julia, pochylając się nad bratem i szarpiąc go za rękę.

Artur zerwał się na równe nogi i krzyknął oburzony:

— A to co znowu?! Do książek sobie idź! Nawet dzieci zaczynają się mną opiekować.

— Mój drogi, ja nie dziecko, ja nie taka głupia, jak myślisz, mam całe piętnaście lat, rozumiesz, szesnasty rok mam... Panną jestem.. A głupia? Ho, ho, ho... mądrzejsza jestem od ciebie. Ja tam za żadnego Cederbauma nie wyjdę, choćby mi nie wiem co obiecywał. To wstyd!

— Proszę cię, przestań! — podniósł głos Artur.

— Nie przestanę.

— Ja awantury z dziećmi nie chcę—a to co? Jak ty śmiesz?

— Gbur!

— Sroka!

— Niech będzie nawet papuga, jeżeli ci się podoba—i pogardliwie spojrzała na brata.

Poczem wskazując na drzwi, rzekła:

— Ty mamę wpędzisz do grobu. Idź, zobacz, jak ona płacze, jak płacze... Nigdy mamy nie widziałam w takim stanie; papę odpędziła, gdy jej coś przekładał, dziadziowi dała odprawę, tylko mnie powiedziała: „Tyś mi jedna została; ty mi wystarczysz za wszystkich”.

— Komedye...

— Dla ciebie niema nic świętego.

— A dla ciebie i dla mamy nic mądrego.

Dziewczyna, zamiast złośliwej odpowiedzi, objęła brata za szyję, mówiąc ze wzruszeniem:

— Mój Turuniu, mój najdroższy, ja ciebie tak bardzo proszę: nie żeń się z tą żydówką! Zrób to dla mnie, zobaczysz, jak mamę tem ucieszysz, tyś przecież nie jest tak zły, jak inni myślą — zrób to dla nas.

Artur delikatnie odsunął siostrę, która stanęła obok niego z bijącym sercem, i rzekł ponuro:

— To, co robię, robię dla was! Rozumiesz? Ratując siebie, ratuję was...

I wybiegł z salonu.

Jula zrobiła tragiczną minę. Usta zaczęły jej drgać nerwowo, potoczyła się ku kanapce, stojącej w rogu, tuż obok złoconej konsoli, i rzuciwszy się na nią, zaczęła cicho szlochać.

Tymczasem hrabina już ochłonęła z bolesnego wrażenia, jakie na niej uczyniła rozmowa z synem. Siedziała w swoim buduarze i starała się myślom

swym nadać inny kierunek, wyrwać je z błędnego koła, w którem krążyły. W tym celu zabrała się do czytania najnowszego, bardzo ciekawego roman-su. Na twarzy jej rozsiadło się to przygnębienie ogólne, co powstaje w człowieku wówczas, kiedy się w nim cały zasób energii życiowej wyczerpuje:

Około godziny 4-tej służący oznajmił przybycie Opelskiego. Hrabina rzuciła książkę na małe biureczko inkrustowane i machinalnie dotknęła włosów, których obfity i piękny pukiel o barwie rudawej sterczał spięty szpilkami szyldkretowemi na głowie. Dbła szczególnie o swoje włosy, przedmiot zazdrości innych pań z towarzystwa.

Kiedy Opelski z kapeluszem w ręku wchodził do buduaru, siedziała już po dawnemu na swoim miejscu, siłąc się na spokój, choć serce jej mocno biło.

— Jak się masz, Klementyno? — spytał przybyły, całując ją w rękę.

Opelski był dalekim kuzynem Sławoborskiego, więc z tego tytułu nazywał jego żonę po imieniu nietylko w ścisłym kółku familijnem, lecz i przy obcych. Ułatwiało im to wzajemny stosunek i czyniło go bardziej naturalnym, aniżeli był w rzeczywistości...

— Słyszałeś tam co nowego na mieście?

— Ma się rozumieć, i niejedno — swobodnie wyrzucił z siebie Opelski, przysiadając się do kuzynki.

— A co takiego?

— Młody Lacki dobija targu, a raczej starzy za niego dobijają. Powstały ztąd pewne nieporozumienia, które jednak nie wydają mi się tak wielkie, iżby ich niepodobna było przezwyciężyć. Lacy chcą gotówki, koniecznie gotówki — a tu na nic...

— No i?

— Będą się musieli do czasu obyć, ale do czasu tylko, gdyż ta dziczka podolska tak jest zakochana w swym narzeczonym, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że po ślubie zgodzi się na wszystko. Ale cóż to mojej pani? Widzę, że smutna — mówił dalej Opelski, biorąc hrabinę za rękę.

— Leon wyjechał za granicę...

— Cóż z tego? — mruknął Opelski. — Wyjechał i wróci.

— Wróci, wróci... — powtórzyła ponuro Sławoborska, i w oczach jej błysnęła złość. — Po co wróci?

— Moja droga, po co? — bąknął kuzyn, przeciągając się na fotelu. — Cóż on tam za granicą będzie robił? Wyjeżdża się albo na dobre, albo na krótko... Gdyby Leon długów nie spłacił, no, rozumiem jego ucieczkę, ale on spłaca... Przez plenipotentą wchodzi w układy; ot, przed chwilą mówił mi Zaduwowicz, że o sumę swoją, a raczej o poręczenie swoje jest spokojny.

— Ach, gdybyś ty wiedział?!

— Co?

— Jakim się kosztem dokonywa ta splata jego długów, ale ty nic nie wiesz; to się tak nagle stało, że ja sama ledwie sobie zdaję sprawę..

— No? — spytał Opelski, pochylając się ku hrabinie.

A ona spuściła nagle wzrok ku ziemi, niby wstydem niespodzianym przejęta, i rzekła:

— Wiesz, co mi Artur dziś powiedział?

— Że dosyć ma nauki.

— Et, o tem byłam przekonana.

— Więc?

— Że się jakby oświadczył o tę Różę żydowską Koniecpolskich.

— Jak, o kogo?

— O Koniecpolską.

— O córkę prezesa Kredytu Krajowego?

— Tak... — jęknęła hrabina.

Spojrzeli po sobie. Sławoborska była zalana rumieńcem, a na kształtnych ustach Opelskiego zaigrał uśmiech wesoły.

— I cóż ty na to? Co ty na to, Rogierze?

Opelski milczał przez chwilę, poczem pociągnawszy ku sobie hrabinę, pocałował ją w szyję i bąknął:

— Ja, moja najdroższa, myślę sobie, że ten Tur, to wcale nieźle kombinuje.

— Co?

— Że jest więcej sprytny, niż przypuszczałem... Jak się to można pomylić w swych sądach?

Mnie się zawsze zdawało, że w nim góruje ponad wszystko próżność, a tymczasem...

Hrabina zbladła nieco, machinalnie odsunęła się od kuzyna, wpatrując się w swój portret z lat młodych, wiszący na przeciwległej ścianie pomiędzy półką mahoniową, na której stały kosztowne figurki z porcelany saskiej, a ciężką portyerą aksamitną, i rzekła stłumionym głosem:

— Wiesz, powtórzę za tobą: jak to można się pomylić w sądach swoich... Ja od lat tylu znam ciebie, wydawało mi się, że znam każde niemal drgnienie twej duszy, a tymczasem ze słów twoich czuję, jak się srodze myliłam. Że ojciec, że Edward aprobuje krok Artura, rozumiem, oni mają swoje obliczenia, na których lep biedny chłopak się złapał, ale ty?... Ty, Roger Opelski, hrabia Opelski?! Cóż ty masz z nimi wspólnego?

I zaśmiała się nerwowo. Opelski się skrzywił nieprzyjemnie i wstał z fotelu. Potem, wsparłszy się na biurku, skrzyżował ręce na piersiach. Wyglądał wspaniale w tej pozycji: męzka twarz jego, starannie wygolona, szerokie ramiona, a zwłaszcza ogólna linia ruchu wykuintnego, czyniły go podobnym w tej chwili do prawdziwego męża stanu, w którym się połączył rozum wielkich przodków razem z ich dystynkcyą rasową.

— Co mnie z tymi panami łączy? Co?—Rozum! To ludzie sprytni; wiedzą, czego im potrzeba, i umieją wchodzić w kompromisy z koniecznością.

— W kompromisy?

— Tak...

Opelski coraz więcej stawał się poważnym, a w hrabinie odbywała się walka najsprzecznějších uczuć. Miała takie wrażenie, jakby się wątek jej myśli rwał co moment.

— Tego się po tobie nie spodziewałam — wydarło jej się z ust zaciśniętych.

— Wię ty sądziłaś, że ja Artura potępię, że ja plany prezesa i Edwarda wyszydżę?

— Pomyliłam się...

— Pomyliłaś się, ale nie na mnie; ja jestem, przy całej mojej figurze potężnej, człowiekiem słabym... słabym, lecz logicznym. We mnie istnieje odczucie porządku faktów, układu niewzruszonego przejawów życia; we mnie czynną jest refleksya, a nie obcą władza wnioskowania. Ty pomyliłaś się na sobie...

— Co to znaczy? — wtrąciła gorączkowo hrabina.

— Znaczy tyle, że ty się uganiaś za marą, za przywidzeniem — i tę swoją marę starasz się wcielić w rzeczywistość — pozór chcesz przyodziać w ciało, chcesz go uczynić określonym kształtem — a to na nic...

— Zanadto trzeźwo rozprawiasz, mój drogi — jęknęła Sławoborska — Ty zapominasz o wielu, wielu okolicznościach ..

Opelski zatopił w niej swe piwne oczy i ruszył ramionami.

— Ty nie chcesz pojąć moich słów, bo te są ogólnym podkładem stosunków rzeczywistych, żądasz widocznie, abym zszedł z wyżyn abstrakcyi na grunt realny, czy tak?

Hrabina milczała

— Wiesz, że są kwestye, których lepiej nie poruszać; niech każdy z nas analizuje je sobie zosobna.. Oceń tę moją delikatność!

To mówiąc zbliżył się do zmartwiałej kuzynki i musnął ją ręką po włosach. Ona ani drgnęła; była ponurą, jak czarna noc; gryzła aż do krwi usta i walczyła z sobą. Nie mogła atoli wytrzymać naporu uczuć gwałtownych. I porwała się z miejsca, twarz rozognioną przysunęła do zimnego oblicza kuzyna, mówiąc z goryczą:

— Ty dajesz mi do zrozumienia, czegoś przedtem unikał; jam dla ciebie żydówką, a Artur mój, jako ze mnie pochodzący, nie jest częścią tego świata, tej sfery, częścią wewnętrzną, do której powinien należeć: bo także jest hrabią, także nosi nazwisko sławne...

Opelski cofnął się nieco w tył; te oczy jej, zwykle czarujące swym połyskiem wilgotnym, paliły się teraz złowrogo—płonał w nich tragizm, wydzierający się z istoty całej. I zadrżał... Nie podobała mu się ta scena, bo budziła w nim pewne uświadomienia, których się lękał i które odsuwał od sie-

bie... Chciał więc rozmowie nadać za wszelką cenę inny bieg, roześmiał się więc nieszczerze i rzekł:

— Klementyno, dajże spokój, co tobie? Robisz niepotrzebnie dramat, który jest ani zabawny, ani zajmujący. No, bądź rozsądną — dodał, próbując pocałować ją w szyję.

Ale hrabina odsunęła się od niego i podnosząc rękę, zawołała:

— Ja dla ciebie tylko żydówką jestem!

— Piękną dla mnie jesteś, jak marzenie; gdzie się piękność zaczyna, tam rasowość niknie. Zostawmy świat w spokoju; niech on się toczy po tej kolei, na którą go los popchnie. My nic nie zmienimy...

— Ale mnie o syna chodzi, o syna, rozumiesz!... — wybuchnęła Sławoborska i nerwowo ścisnęła mu rękę.

— Powiedz: zgodziłaś się na to, żeby się Artur Róży Koniecpolskiej oświadczył?

— Czy kto dba o moją zgodę?

— Zatem przyzwoliłaś?

— Musiałam...

— Więc już po wszystkim, niema o czem rozprawiać.

— Ja chciałam od ciebie pociechy na moje zmartwienie, a ty mnie poisz goryczą.

— Klementyno! Zwaryowałaś, czy co? -- zawołał pół seryo, pół żartem Opelski. — Dla ciebie życie swe w znacznej części poświęciłem...

— A ja? Czy nic nie poświęciłam? — odrzekła śpiesznie Sławoborska.

Piękny hrabia wydobył chuskę z kieszeni i przetarł sobie oczy, poczem jął mówić niezwykle wolno:

— Wyrzuty? I po co?... Ot, lepiej zostawmy je w spokoju raz na zawsze. Artur się ożeni, bo w przeciwnym razie zrobiłby głupstwo; jest dość rozsądny, żeby w życiu ze swym przyszłym teściem unikać rozmyślnych dysonansów, któreby mu na dobre nie wyszły. Sfera nasza będzie po dawnemu jego sferą. Niektórzy się pośmieją, inni pozazdroszczą losu — i na tem koniec. Widzisz, to wszystko komedya, a nie żaden dramat.

— Jakiś ty zadziwiająco mądry, jakiś ty mądry — mruknęła Sławoborska z przekąsem.

— I ty tak samo myślisz z pewnością — odciął się Opelski.

I przystanął. Zaległo chwilowe milczenie. Hrabina przerzucała książkę, a Opelski palił spokojnie papierosa, lubując się dymem wonnym narkotyku. Poczem usiadł obok niej i wzięwszy ją za rękę, zaczął znów:

— Gniewasz się na mnie?

— Et, nie wznowiajmy rozmowy.

— Uważasz, mnie chodzi o to, żebyś ty się nie gniewała, moja droga, moja najdroższa... Ja ci mam coś do nadmienienia.

Hrabina słuchała.

— Wiesz, że chociaż dobrze wyglądam, ale

nie jestem zdrów; ja muszę iść za poradą lekarzy i wyjechać ztąd na czas dłuższy.

Sławoborska zbladła nagle i z boleścią wyłkała:

— I mógłbyś?! Ty mógłbyś wyjechać, nie widzieć mnie przez czas dłuższy?!

— Zdrowie... Tobie wszystko jedno?

— Nie graj komedyi.

— Znasz mnie...

— Dziś cię poznałam innym, a raczej cię nie poznałam dzisiaj.

Opelski nieszczerze się uśmiechnął, był zły, więc rzekł z przekąsem:

— Człowiek się zmienia, staje się coraz starszym, a nie młodszym.

— Ha, ha, ha!... Tegom się doczekała—syknęła Sławoborska — wyrzucasz mi to, że się starzeję.

— Ja mówię o sobie—mruknął piękny hrabia.

— Ale myślisz o mnie.

Opelskiemu ściągnęły się brwi gniewnie i odrzekł ostro:

— Czego ty chcesz od mych myśli?

— Wszakżeś mnie niegdyś nazywał panią swych myśli najgłębszych—drwiła Sławoborska.

— Jak się ty nie znasz na delikatności!

— Na obłudzie, mój drogi — odparła hrabina, i oczy jej zaszły łzami.

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Ja względem ciebie byłem zawsze szczery, ale ty

się na tej mojej szczerości nie poznałaś... nie stać mnie było na siłę...

— By się odemnie odczepić! Tak, widzisz, żem już nie jest ta piękna z lat dawnych; widzisz mnie znużoną, zmęczoną, pogrążoną w utrapieniach, z którymi rady sobie dać nie mogę; widzisz mnie nadewszystko mniej zajmującą, więc uciekasz. Głupi, tyś to wcześniej mógł uczynić! Czy nie zapóźno już teraz, mój dobry panie?

I szydziła z niego, a płacz jej się zrywał.

Opelski był chmurny. Żał mu było tej kobiety, którą kochał niegdyś całą potęgą duszy młodej, całą namiętnością zmysłów rozpętanych, a z którą obecnie łączyła go jedynie nić przyzwyczajenia i węzeł słodkich wspomnień. I oto przygarnął ją do siebie rozplakaną.

Szeptał jej do ucha:

— Chcesz, bym pozostał? Ja zostanę, ale nie powinienem, czuję się wyczerpany, wrócę znowu... wrócę... Wszakże wiesz, że cię kocham, a kocham, jak dawniej.

— Ty jeszcze kochasz?—mówiła mu, całując go ze wzrastającą gwałtownością w oczy i w usta...

Zawisła mu na ramieniu, nie mając więcej siły do walki.

— Kocham...

— Tyś naprawdę chory?

— Zapytaj Żubrowskiego?

— Co mi tam Żubrowski, co mi doktor, ty mi powiedz!

A on był w położeniu człowieka, który się brzydził skłamać, ale który musiał, czuł, że musiał skłamać. I rzekł:

— Muszę jechać!

— A wrócisz taki sam?

— Wrócę...

— Ach, Boże! Jaka ja jestem opuszczona... Jedź, jedź—tylko kochaj, bardzo kochaj: twoja miłość jest życiem mojem.

Potem już rozmawiali coraz ciszej. Hrabina tuliła się do Opelskiego, jakby czuła, że są to jego ostatnie szczerze uściski, których jej udziela.

Poczem się rozstali, on z kłamstwem w duszy, a ona ze świadomością niemal tej pustki, której się już odtąd do końca życia pozbyć nie miała.

— Skończyło się... Marzenia moje wszystkie się rozwiały... — szeptem powtórzyła za odchodzącym.

Tymczasem hrabia Sławoborski, zadowolony z tego, że cała „ta komedia”—hrabia wszystko, na co patrzył i w czym brał udział, nazywał komedią—skończyła się nie tak znowu tragicznie, jak sądził, biegał po mieście i załatwiał mnóstwo interesów potrzebnych i niepotrzebnych. Tak mu to uwieźło w głowie, iż dziś właśnie ma do roboty więcej, niż zwykle, że znów zawiesił swoje populudniowe lekcye muzyki i języka angielskiego.

— To trudno, człowiek odpocznie dopiero chyba w grobie—myślał, wpadając do Kredytu Kra-

jowego, ażeby się dowiedzieć, czy tam jest jeszcze Konięcpolski.

Powiedziano mu, że niema, że wyszedł już przed godziną. Hrabia mocno sapnął, bąknął coś uroczyście dyrektorowi, rzucił okiem z balkonu na ogromną salę, w której stało przy kratkach kilkunastu Żydów, i wyniósł się.

Potem uśmiechnięty wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do domu Konięcpolskich, ale nie wchodził do wnętrza, zostawił tylko kartę swoją i swej żony.

Potrzebował ruchu, bo się czuł w złotym humorze: z po za chmur ciemnych ukazało mu się słońce nadziei pełne.

Spojrzał nawet przejeżdżając przez Aleję Róż na niedokończony pałac swój własny, a raczej swojej własnej żony pałac, który przywykł nazywać budą żydowską—i oto ten budynek wydał mu się niemal piękny.

Wstąpił także do teścia, by mu powiedzieć coś bardzo ważnego, a czego nie był w stanie na razie sformułować. Na szczęście, starego bankiera również nie zastał, gdyż miałby zabawny kłopot wybrnięcia z nawału popłatanych i skłębionych zdań, które sobie w głowie porządkował. Nie było w nich rzeczowej treści, to jest tego, bez czego stary Edelberg nie lubił przystępować do rozmowy.

I tak oto uwijał się hrabia Sławoborski, roznosząc i rozwoząc swoją radość po całym mieście.

Było już koło godziny szóstej, kiedy nareszcie

uczuł potrzebę chwilowego odpoczynku. Wpadł do cukierni na Krakowskim Przedmieściu, chwycił za *Figaro*, leżące obok jakiegoś starego jegomościa, który sobie tę właśnie gazetę przyszykował do dłuższych „studyów,” rzucił okiem na zadrukowaną płachtę papieru, mruknął coś pod nosem i kazał sobie podać ogromne pudło najlepszych czekoladek.

— Proszę o same czekoladki! — zawołał i cisnął *Figaro* na stolik, przy którym, kiwając nogą, siedział przystojny huzar i pił sobie spokojnie kawę.

Ponieważ rzucając gazetę, hrabia trącił nieco kijem huzara, więc tenże zrobił natychmiast groźną minę, i już mu się miał wymknąć nieprzyjemny aforyzm z ust, gdy Sławoborski poskoczył ku niemu i rzekł słodko.

— Pardon, monsieur, mille fois pardon!...

Huzar uśmiechnął się dobrotliwie, nie tyle może z powodu grzecznego przeproszenia hrabiego Edwarda, ile, że w tej chwili właśnie ujrzał wchodzącą jakąś przystojną młodą kobietę—i dał pokój swej wojowniczości.

Tymczasem Sławoborski, zapłaciwszy przy kasie za czekoladki, wybiegł z cukierni. Szedł śpiesznie, wymijając przechodniów, w stronę Senatorskiej, gdzie mieszkała panna Stefania Patyczek.

Jakoż w parę minut już był u niej w przedpokoju. Zdjął palto i oddał je służącej, poczem z pudełkiem w ręku wpadł do salonu.

Panna Patyczek siedziała na niskiej, czerwonym pluszem krytej kanapce i, trzymając kajet

w ręku, słuchała z miną skupioną poety Miłobędzkiego, który mówił jej natchnionemi słowy o najwyższym ideale sztuki.

— Może przeszkadzam? — zawołał hrabia, stając w progu, i rzucił pogardliwe spojrzenie na młodego wieszczka.

— Dotychczas nie — odrzekła przyciszonym głosem panna Patyczek i ściągnęła groźnie brwi— ale bądź pan łaskaw przywitać się z nami grzecznie i słuchać spokojnie: poeta mówi nadzwyczajne rzeczy, które i panu przydać się mogą.

Miłobędzki wstał i z wielką godnością podając Sławoborskiemu rękę, jął zawodzić w dalszym ciągu:

— Uważa pani, najwyższy wyraz sztuki znajdujemy w tragedyi, gdzie namiętności podniesione do ostatniej potęgi, naraz łamią się i stawiają ludzi w położeniu bez wyjścia. Rola człowieka, rola indywidualna się kończy, a zaczyna się działanie jakiejś siły piorunującej, która...

— Mój drogi panie—wtrącił Sławoborski, podnosząc się z krzesła—daj pan pokój tej sile, o której nikt nic nie wie.

— Cicho!

— Nikt, oczywiście nikt nie wie z tych, co się tylko ślizgają po powierzchni bytowej treści, ale poeta wie i czuje—poeta szuka i znajduje...

— Czego nie zgubił—syknął Sławoborski.

Maleńka rączka panny Patyczek spadła na jego łysą głowę.

— Więc pan śmiesz?

— Śmiem przerwać te blagi.

— Panie! — jęknął obrażony poeta i poprawił sobie spadającą mu aż na czoło sutą czuprynę.

Ale hrabia na Miłobędzkiego nie zwrócił nawet uwagi, posunął się ku swemu zagniewanemu ideałowi i wyszeptał:

— Moja droga pani, mam ci coś do powiedzenia bez świadków, a czasu mi brak.

— Nieznośny pan jesteś—mruknęła panna Patyczek i odsunęła się od niego.

Miłobędzki wytrzeszczył swoje wyblakłe oczy na stojący w rogu salonu gipsowy biust Mickiewicza i powoli zapadał w jakiś stan dzikiego osłupienia.

Panna Patyczek przez chwilę spoglądała na niego tak, jak spogląda człowiek pobożny na obraz świętego, potem klasnęła w dłonie i zawołała:

— Co pan widzi?

Miłobędzki się ocknął i odrzekł z uśmiechem szczęścia:

— Miałem bajeczną wizję.

Hrabia, którego obecność rozczochranego poety naprawdę irytować zaczynała, bąknął półgłosem:

— Idyota!...

Miłobędzki, czy nie dosłyszał tej impertynencji, czy też udał, iż nie słyszał, dość, że zrobił minę zarzynanego jagnięcia i powtórzył:

— Miałem bajeczną wizję; oto wydało mi się, że stoję ..

— To się panu źle wydało—przerwał Sławoborski—ja panu powiem, coś pan widział.

Na to panna Stefka obrzuciła hrabiego pogardliwem spojrzeniem i zawołała:

— Panie, pan jesteś gbur! Pan o talencie, o symfonii, no... co tu długo rozprawiać... o wielkiej sztuce pojęcia nie masz.

I wstała, a tupnąwszy swą zgrabną nóżką ze złością krnąbrnego dziewczęcia, dodała:

— Pan jesteś po za sztuką, pan jesteś... o, tem pan jesteś!—i pokazała hrabiemu zwinięty w trąbkę koniec swego ostrego języka.

Sławoborski ruszył ramionami i uśmiechnął się dobrotliwie, poczem znów zwrócił się do poety:

— No, powiedz-że pan, coś w swem osłupieniu, czy tam jakiejś ekstazie zobaczył? Pewnie ujrzałeś pan siebie, siebie we własnej osobie?

Miłobędzki podparł się na łokciu swego wytartego żakiecika i odparł z flegmą:

— Spotkaliśmy się tam razem.

— Gdzie?

— W zaświatach.

— A niechże pana dyabli wezmą z zaświatami—co mnie to wszystko obchodzi?!

— Co pana obchodzi? — oburzył się poeta.— Co pana obchodzi?... Oczywiście tyle, ile obchodzi...

— Filistra, utytułowanego mieszczucha We-

zuwiesz, Etna i inne krajobrazy tego wielkiego malarza, o którym wszyscy na całym świecie mówią i o którym mi dziś opowiadał poeta Miłobędzki — dokończyła panna Stefka.

Hrabia roześmiał się na całe gardło i chwyciwszy pannę Patyczek wpół, pocałował ją w łabędzia szyję.

— Nieoceniona, niezrównana, boska! — wołał.

A Miłobędzki naprzód poczerwieniał, jak rak, potem zbladł, jak świeżo wybielona ściana, i dopiero po dłuższej chwili milczenia jęknął:

— Pani, pani..., Ja pani co innego mówiłem.

— Co to co innego?—krzyknęła panna Patyczek, przyskakując do Miłobędzkiego.

— Ja pani opowiadałem o dziełach Böcklina, ale nie...

— Et, co tam pan plecie... Głucha nie jestem, nasłuchiwałam się tylu blag w swem życiu, że wiem, czem są wykręty... Zresztą — dodała, nie rozumiejąc, o co chodzi — dla mnie, proszę pana, jest wszystko jedno, jak się ten Włoch nazywa... Natrzepałeś pan tyle tych dziwacznych nazwisk, że trudno mi je spamiętać. Dla mnie Ibsen, czy Habermusz lub Machlejd, wszystko jedno, rozumie pan? A jeżeli się panu nie podoba, to ja także gwizdę na to!..

I zwinawszy język w trąbkę, zaczęła gwizdać nad samym uchem Miłobędzkiego, który na nią jednocześnie z zachwytem i z ironią patrzył.

— Rusalka wiekuista, mych marzeń promień senny, nie zdołała się w myśl wczuć moją...—dekłamaował poeta.

Hrabia, który się już śmiać przestał, podszedł ku niemu i rzekł:

— Poeto, wieszczu, ot, masz przykład, na jaką glebę twe słowa podają!.. Radzę ci przeto usunąć się w absolutne niebyty: tam cię rozumieją, tam cię odczują, tam myśl twą schwyca w lot nie-dościgłych marzeń twych gryfy — opuść ten padoł filisterski i dąż w górę: excelsior!

Miłobędzki widział, że hrabia sobie kpi z niego najwyraźniej, lecz ponieważ dla różnych powodów i przyczyn chodziło mu o utrzymanie z nim stosunku, więc nie odciął się zjadliwie, jak to zwykł był z równymi sobie czynić, ale postanowiwszy do końca utrzymać się w tonie, podniósł głowę do góry i wyrzekł z godnością:

— Jakoż i hrabia uległ wpływom secesyjnym: ziarno padło na dobry grunt, więc niebawem kiełkować zacznie, tylko je trzeba zostawić w spokoju.

— Oto, dobrześ pan powiedział — wyrzucił z siebie Sławoborski.

— Pan już idzie? — pytała exbaletnica — Po co? Tak doskonale mnie pan bawił...

Miłobędzki skrzywił się nieznacznie i odparł:

— Ja uczę, nie bawię. Teraz idę, lecz znowu wrócę, gdyż nie chcę, by słowa moja bezowocnie przepadły.

Poczem pożegnawszy się z hrabią i z panną

Patyczek, na którą ukradkiem rzucił czule spojrzenie — wyszedł.

Kiedy się za nim drzwi zamknęły, hrabia przystąpił do swej bogdanki i zawołał:

— Tyle razy cię prosiłem, żebyś z tym błaznem, udającym poetę, zerwała, żebyś go tu nie przyjmowała. To mała dekadenska, która ci w głowie przewraca.

— A ja ci, stary niedołęgo, jeszcze raz powtarzam, żebyś mi dał święty pokój i nie narzucał swej woli w moim własnym domu. Będę przyjmowała, kogo mi się spodoba, a Miłobędzkiego specjalnie, bo on jest zabawny i na sztuce się zna.

— On mnie irytuje.

— Boś ty filister.

-- Moja droga, dosyć tego — mruknął ostro Sławoborski.

— Ty grozisz?

Hrabia pohamował się, ścisnął zęby i składając ręce, jak do modlitwy, wyszeptał:

— Ja proszę, ja proszę, bo kocham...

— Kochaj, ubóstwiaj, ale nie żądaj, bym była twoją niewolnicą, ja nie znoszę niewoli, jestem córką wolnego powietrza, rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem — ja ci tylko przekładam, a ty zaraz wpadasz we wściekłość.

— Wydobywam z siebie wszystkie namiętności, bo tym sposobem wzbogacam swój repertuar.

— Ach, gdybyś ty przy zwyczajnym repertuarze pozostała? — zawodził hrabia.

— Dobrze sobie!—krzyknęła panna Patyczek.—
Dla ciebie mam się pozbywać przyszłej sławy, czyś
zwaryował? . Mój kochany, wiedz-że o tem, że od-
kąd zdobyłam sobie z takim trudem scenę drama-
tu i komedyi, stałam się inną.

— Wiem o tem i boleję nad tem.

— Zamiast się cieszyć?

— Tak.

— Zamiast się ze szczęścia mego radować?

— Tak...

— Czyś ty oszalał?

— Z miłości oszalałem, a z zadróści umieram.

— E, nie gadaj głupstw?

— Ty mnie zdradzasz...

— Jeszcze nie, ale gdy mi będziesz dokuczał,
to jak Bóg na niebie, uczynię to, uczynię z satysfak-
cją.

Hrabia osunął jej się do kolan i jęczał:

— Aniele mój, nie dręcz mnie!

Panna Patyczek uśmiechnęła się dwuznacznie
i nie chcąc przybranego opiekuna swej cnoty dopro-
wadzać do lirycznych kwileń, które ją przejmowały
kiepsko ukrywanym wstrętem, położyła mu różowiu-
tką dłoń na łysej głowie i głosem słodkim wyśpie-
wała:

— Niech gawron mnie nie męczy, to będzie
między nami zgoda; ja go nie zdradzam, bo go ko...
ko... kocham, jak te cukierki, które mi przyniósł.

I zaczęła się śmiać, otwierając bombonierkę.

Napakowała sobie czekoladek całe usta i pozwoliła hrabiemu ukąsić kawałeczek makaronika. Sławoborski był szczęśliwy, podkręcił sobie oba sterczące do góry siwe wąsiki i usadowiwszy się tuż przy swej ukochanej, wpijał się w nią swemi krogulczemi oczyma.

Panna Patyczek chrupała cukierki i opowiadała mu, z jaką łatwością uczy się roli z „Rusałki” Miłobędzkiego, którą jej na pierwszy występ wybrał Trenczyński. Nie wspomniała jednak o tem ani jednym słówkiem, że cała rola zawiera się w dziesięciu wykrzyknikach monosylabowych, a cała akcja sprowadza się do choreograficznych produkcji zwykłej baletnicy.

Hrabia słuchał, czy też udawał zasluchanego; bawił go właściwie jej szczebiot, naprawdę przyjemny i wdzięczny, bawiły go nagle wybuchy radości, a nadewszystko jej pyszne blond włosy o złotawym odcieniu, które z lubością niewysłowioną głaskał i całował.

— A jak mi się debiut uda—że zaś się uda, o tem jestem przekonana—to zaprosimy znowu do Europy Trenczyńskiego i Miłobędzkiego, no i jeszcze kogoś z krytyków, żeby chwalił...

— Moja kochana, moja droga, ja nie wiem, czy będę mógł — przekładał hrabia, który sobie postanowił przed ślubem Artura zawiesić swoje afiszowanie się po restauracyach i teatrach z panną Patyczek.

— Będiesz mógł, bo ja tak chcę—słyszysz?!—
zawołała rezolutna exbaletnica.

— Ach, i ten Miłobędzki...

— I on także... Co ci to szkodzi? On takie cudowne kawały na poczekaniu komponuje. Powiadam ci, to prawdziwy mistrz od wszelkich blag. Ja-bym tu uschła, gdyby on mnie nie bawił; za to też mu jestem wdzięczna... No, i nie obraża się wcale, ale to wcale; można z nim zrobić, co się podobą. Więc i Miłobędzki będzie — co, dobrze?... Po debiucie, w Europie — dobrze?

Hrabia zmarszczył się.

— Tyś przecież nie głupia — rzekł — rozumiesz, co to są względy światowe.

— Aha, światowe względy! — zachnęła się panna Patyczek, i niebieskie jej oczy błysnęły złośliwie. — Ja ci tyle razy powiedziałam, że sobie z twojej hrabsko - żydowskiej arystokracji kpię, że na nią poprostu pluje—i dlatego jestem mądra.

— Wiem o tem, wiem...

— Więc czegoż mi temi bredniami zawracasz głowę, która jest czemś poważniejszem zajęta?

— A bo widzisz... — Tu hrabia się namyślił, a potem naraz rozpaczliwie wyrzucił z siebie: —Mój Artur się żeni!

— A fe, w tym wieku?

— Mus.

— Kiedy się ma mleko pod nosem?

— Daj pokój!

— Zeni się... ładny chłopak... pewnie z jaką brzydką jaśnie panną? — monologowała panna Patyczek, która młodego Sławoborskiego z widzenia знаła, i który jej się podobał.

— Żeni się nie z jaśnie panną, lecz z niebrzydką zwykłą panną.

— Jakże się nazywa?

— Et — machnął ręką hrabia.

— Kto?

— Nazywa się Koniecpolska i jest najbogatszą panną w Warszawie.

— Ha, ha, ha!.. Córka tego żyda, o którym pisali w gazetach, że go własny urzędnik pobił? — pytała panna Stefka.

Hrabia poczerwieniał nagle. Zatrząsał nim jakiś wstyd niepojęty: wstydził się tej dziewczyny, wyciągniętej z gminu, tej istoty, ocierającej się ciągle o bezwstyd i żyjącej z bezwstydu... Więc milczał ponuro, a panna Patyczek, spoglądając nań z nietajoną pogardą, zawołała:

— Biedny chłopak!

Hrabia poruszył się nerwowo na kanapie.

— Jacy wyście podli i nikczemni! Chłopaka młodego oddajecie w niewolę takiego Koniecpolskiego, o którym w Warszawie, w całej Warszawie z oburzeniem i wstrętem mówią: to przecież oszust ostatni, to złodziej, tyran!..

— Kłamstwo

— Jakto, piszą... Miłobędzki...

— Idyota...

— Porządny człowiek

— Osioł, błazen!..—powtarzał Sławoborski—
A co piszą w gazetach, to fałsz. Zresztą będzie
odwołanie tej całej komedii, którą ten tam jakiś
urzędniczyzna sfabrykował.

Panna Patyczek pochyliła się nad hrabią i cią-
gnąc go za ucho, wycodziła:

— Już ty mnie, stary lisie, nie zwiedziesz...—
poczem po chwili dłuższego milczenia dodała:—Zre-
szta, co mnie to wszystko obchodzi; ja waszych bru-
dów prać nie będę — mam swoich dosyć, chociaż
te moje brudy nie są tak wstrętne, jak tamte wa-
sze. Ja robię wiele rzeczy, bo muszę, bo żyć trze-
ba; ja przywykłam do pewnego trybu życia, którem
zresztą gardzę... Ale kiedy się uczepię sceny, dra-
matu, to się postanawiam zmienić. Miłobędzki po-
wiada, że sztuka uszlachetnia... Wprawdzie ja te-
go jeszcze nie czuję, może jestem za głupia, ale ja
pragnę uszlachetnienia! A wy?.. Wy gnijecie i zgni-
jecie, wy, panowie hrabiowie!..

I wstała z kanapy. Chodziła po salonie, przy-
stawiała przy oknach i wogóle czuła się dziwnie
wzburzoną.

— Nie wiedziałem, że cię ta wiadomość tak
bardzo przejmie — bąknął hrabia — gdybym był
wiedział, nie pisałbym ani słówka.

— Mnie to nic a nic nie obchodzi.

— Moja droga, czego ty chcesz odemnie?

— Ha, ha, ha!.. Czego? Tylko pieniędzy!

— Okrótnico!

— A cóż ty mi dać możesz?

— Miłość ci daję.

— Starą, strupieszalą...

— No?!

— A tak, tak!...

— Nie obawiaj się, Artur się żeni z panną Koniecpolską sam; ona mu się podoba, on się w niej kocha.

— Z musu...

— Et...

— Powiadam ci, że on biedny chłopak, a tyś stary lis, a twoja żona obrzydliwa, pychą naszpikowana żydówka, której ja nienawidzę.

Hrabia do krwi gryzł usta; odczuł wobec tej dziewczyny, w której uwięził resztę swej rozpustnej zmysłowości, po raz drugi wstyd okrutny. Ubodła go jej pogarda, ubodła tembardziej, że nie był na nią przygotowany. I oto zamroczyło mu się w oczach, zaszumiało w głowie.

— Jakiś ty marny, jaki nędzny...—plątało mu się w skołatanyh zalewie myśli.—Upadłeś niżej od tej dziewczyny, sprzedającej za gotowy grosz młodość i wdzięk swój...

Tymczasem panna Patyczek znów stanęła przed nim, ale z jej twarzy, przed chwilą jeszcze wesołej, znikła wszelka radość; nie wyrывał się z jej gwałtownych ruchów gniew, była poważna i smutna.

I oto tak mówić zaczęła:

— Myślałam, że ty, człowieku niedobry, masz sumienie, ale ty go nie masz; liczyłam na serce two-

je, lecz ty i serca nie posiadasz. Tyś jest zepsuciem samem, bagnem, w które mnie wciągnąć pragniesz... Ty jesteś wstrętny, tak, bardzo wstrętny! Gdybym była o twem sumieniu i sercu nie myślała, trzymałabym cię tu, u moich stóp, do końca życia twego; wyssałabym z ciebie każdego rubla z obojętnością najwyższą!..

Hrabia był blady, jak płótno; nie mógł wytrzymać i zawołał zdławionym głosem:

— Dosyć, dosyć!... Ja tego nie zniosę... Ty śmiesz, ty, ty!...

— Ja, ja, ja!.. zwyczajna dziewczyna z ulicy; ja upadła i nędzna... a jednak lepsza od was, gdyż mam sumienie, bo mam poczucie ohydy, bo umiem z głębi duszy tobą, stary rozpustniku, gardzić!

Sławoborski zerwał się na równe nogi i schwycawszy baletnicę za ramię, syknął:

— Milcz jędzo, jaszczurko, nie kęsaj!

— A więc cię ukąsiłam?

— Do żywego..

— Poruszyłam bagno, ja, baletnica; naplułam na twoją plugawą duszę!

Wyrwała mu się.

Był piękna w tej chwili; zarumienione jej policzki pulchne pały, w oczach palił się płomień wielkiego podniecenia. Z podniesioną głową, z włosami w nieładzie, z hardością bijącą z twarzy wyglądała wspaniale.

I hrabia mimowoli zdumiał; takiej jej jeszcze nie widział nigdy. Wrzała w nim namiętność i spa-

łała się gorycz, wstyd, oburzenie—wyciągnął ku niej błagalnie drżące ręce i wyszeptał:

— Ja ci wszystko daruję; tyś przepiękna!

— Wiem o tem.

— Ja wszystko zrobię dla ciebie, tylko dla ciebie; będę leżał u stóp nóg twoich...

— Już leżysz.

— Będę cię ubóstwiał.

— A potem pluł na mnie, gdy wrócę do zwykłego stanu, do stanu zbydłęcenia...

Zatrzymała się na chwilę, poczem rzekła ponuro:

— Wrócę, bo muszę... ale nie z tobą... I ja także mam swoje upodobania...

— Dyablico!

— Mam swój repertuar upojeń, którego ty odczuć nie jesteś w stanie... Do widzenia, żegnam cię, mój panie hrabio! Niech was dyabli porwą, ciebie i wszystkich twoich Koniecpolskich z Edelbergami!...

Wybiegła, jak furja z salonu.

Zanim się hrabia opamiętać zdołał, już jej w mieszkaniu nie było.

Skurczyła mu się twarz boleśnie; stał dobry kwadrans przed oknem i widział, jak wsiadała do dorożki i jak odjeżdżała.

Zrobiło mu się nieznośnie.

Odczuł niewypowiedziany wstyd i żal jakiś, nie dający się ująć w słowa; żal do losu, który go

doprowadził tego stanu rozpaczliwego, w jakim się w tej chwili znalazł.

Wyszedł chwiejąc się na nogach, chmurny, jak noc jesienna, bezradny. Poznawał też coraz wyraźniej na tle przeżytych wrażeń, że i kompromisy mają swoje granice i nie zawsze się udają, a nawet wówczas się najmniej udają, kiedy się człowiek najmniej tego spodziewa.

.

Około godziny 12-ej wrócił do domu.

W przedpokoju zastał Artura we fraku uśmiechniętego, wesołego. Młody człowiek zdejmował z siebie futro, obok niego stał Franciszek i coś mu opowiadał.

Przywitali się.

— No i co? — mruknął hrabia po francusku, zwracając się do syna.

— Oświadczyłem się i zostałem przyjęty...

Sławoborski drgnął i nienawistnie na niego spojrzał, a syn, nie dostrzegłszy narazie żadnej zmiany na twarzy ojca, położył mu poufale rękę na ramieniu i wyrzekł cicho:

— A co, papo, sprytny jestem?

— Głupi jesteś...

— Ha, ha, ha!... Jakaż to mucha papie na nosie usiadła; ty mi chcesz zrobić scenę, mój papo, *c'est un peu trop fort?! Przecież ty sam...*

— Głupi jesteś — powtórzył twardo ojciec

i potoczył błędnym wzrokiem naokoło siebie — a ja jestem i głupi i podły!

— Papo?!

Hrabia chwycił się za głowę, jak ten, komu się umysł rozprzęga nagle, i jęknął:

— Bagno, cuchnące bagno, z którego nic już nas na świecie nie wyrwie! Daruj, synu, tyś tylko narzędzie losu, tyś tylko pionek, tyś...

— Papo, czyś ty oszalał?! — zawołał Artur, cofając się w tył, gdyż dopiero teraz zauważył, że z ojcem dzieją się rzeczy niezwykle.

— Oszalałem... Niema kompromisu, a jest coś, co targa nici przedzy ludzkiej i pogrąża je w otchłań, zkąd zawiewa woń trupia...

— Ojcze, tyś chory?

— Zdrow jestem.

— Ja nic nie rozumiem...

Hrabia był przeobrażony; przeglądała z jego oczu ironia, ta zimna ironia, która wszystko swym jadem przegryza; wargi mu się trzęsły, jak w febrze. Zdawało mu się, że wszystko wokoło niego wiruje i tańczy, tylko on sam stoi w miejscu. I podniósłszy prawą rękę do góry, wyłkał ponuro:

— Ty tego, synu, nie rozumiesz — i słusznie; jakżebyś ty mógł pojąć pewne rzeczy, kiedy na to potrzeba krwi czystej... a tyś jest mieszańcem... Patrz na mnie; jam ostatni Sławoborski, w którym również po raz ostatni rozumienie naszej rodziny, nie, mojej rodziny, się odezwało. Tyś temu, co się

we mnie w tej chwili dzieje, jest obcym, i twoje dzieci będą obcymi, i twoje wnuki będą obcymi. Na mnie się naprawdę skończył mój własny ród... Ponieważ ja inaczej myślałem, ponieważ ja w życiu całem inną, nie tę, która mi przeznaczona była, rolę grałem, więc cierpię, strasznie cierpię!...

I odszedł, pozostawiając syna przejętego zdumieniem i grozą.

EPILOG.

W trzy miesiące później pan Artur Sławoborski ożenił się z panną Różą Koniecpolską. Ślub odbył się w Krakowie, poczem państwo młodzi wyjechali do Włoch, ażeby przez pewien czas cieszyć się swem szczęściem zdala od krawnych i znajomych.

W stosunkach pomiędzy panem Natanem Koniecpolskim a starym Edelbergiem nastąpiła także wielka zmiana: porozumieli się obaj i pokochali do tego stopnia, iż ich niekiedy po kilka razy dziennie widywano razem. Urzędnicy Kredytu Krajowego po pewnym czasie odczuli tę zmianę: przy jednolitej woli kierowników zarządu i rady tej potężnej instytucji nie mogło być już mowy o żadnym oporze, ani biernym, ani też czynnym.

Zły przykład Rozpędowicza, który zgodził się za odpowiedniemi odszkodowaniem na stłumienie swojej sprawy, nie znalazł naśladowców. Zresztą obaj prezesowie postanowili na wspólnej naradzie

usuwać takie osobistości z grona pracowników banku, które zbyt ostro zaznaczały przejawy swej własnej indywidualności.

Zapanował spokój, jak zwykle bywa po burzy.

Tymczasem pan Edward Sławoborski stracił zupełnie swój dawny humor i spryt. Stał wprawdzie ciągle na stanowisku głównego dyrektora Oporowskich zakładów metalurgicznych, którym już teraz, dzięki stałemu kredytowi firmy D. Koniecpolski i S-ka, nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale czynności swe wypełniał niemal automatycznie. Przystano się też powoli z nim liczyć, przeciwko czemu hrabia nie protestował.

Zauważono również i to, że dumna pani Sławoborska wycofała się nieco ze sfery swych znajomości arystokratycznych i że przyjęcia w swym domu ograniczyła do najbliższego koła zaufanych. Złośliwi opowiadali sobie, jakoby nastąpiło stanowcze pogodzenie się jej z mężem, w towarzystwie którego widywano ją coraz częściej. Szukano przyczyn tej niespodziewanej zgody, no i znaleźli się tacy, którzy twierdzili, iż hrabina zmieniła tryb życia od tego czasu, kiedy Opelski wybrał się w podróż naokoło świata, a Sławoborski—od tego dnia, kiedy panna Patyczek, występująca teraz z powodzeniem w dramacie, znalazła nowego adoratora. Tym zaś nowym adoratorem był najmłodszy z synów znanego bankiera Goldspiegla, który, ujrzawszy pannę Stefkę, jako wodnicę w efektownej sztuce Miłobędzkiego, zapłonął ku niej niepo-

waną miłością. Goldspiegel tracił na piękną aktorkę pieniądze, podczas kiedy hrabia Edward Sławoborski tracił z powodu niej humor, zdrowie, rozum i stawał się zwykłym zadomowionym filistrem.

Jaskrowski po dawnemu bawił się życiem z obojętnością prawdziwego epikurejczyka, nazywając je stale komedią, stojącą w luźnym stosunku do tej prawdziwej rzeczywistości, którą przesłaniały nieprzeniknione chmury, obludy i blagi.

Czasami zaglądał do Sławoborskich, tu też się dowiedział od starego Edelberga, że pan Leon, przyjąwszy miejsce w jakiejś wielkiej firmie handlowej, osiedlił się na stałe w Ameryce i o powrocie do kraju na razie nie myślał.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.



Str.

ROZDZIAŁ III.

Dzień pana Leona Edelberga. 5

ROZDZIAŁ IV.

Dzień kompromisów 75

Epilog 139



TEGOŻ AUTORA:

Owanes Ohana, powieść.

Na odajach stepowych, powieść.

Z prądem życia, powieść.

Historya o królewiczu Milanie, uniesień i wizyj mistycznych symfonia.

Mistrz Twardowski, bytu ludzkiego misteryum.

ZWRACAMY UWAGĘ!

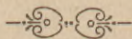
Z d. 1 Grudnia roku bieżącego

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

przeniesioną zostanie na ulicę **Warecką Nr. 14.**

W lokalu obecnym przy ulicy Nowy-
Świat Nr. 47 przyjmować będziemy inte-
resantów do dnia 1 Stycznia 1904 roku.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

174033

Biblioteka WSP Kielce



0122053